№ 7 Warszawa, dnia 6 (18 Lutego) 1882 roku.



TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Krolestwie, kwartalnie rs. 2 kop 50. Numer pojedyńczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3 na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu złr. 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.

O WYDAWNICTWACH TANICH.

Napisał

JAN AMBORSKI. (*)

I. Tysiączne znaki na niebie i na ziemi dowodnie przekonywają najcięższej myślącego, że tylko energiczna praca nad oświeceniem i umoralnieniem ludu ocalić nas może od różnego rodzaju katastrof. Tej narzucającej się potrzebie przypisać należy już to głosy, odzywające się z różnych części kraju, już to nawet i pierwsze kroki ku rozpoczęciu jakiejś dodatniejszej roboty.

Dochodzą nas wieści iż na prowincyi formuje się kilka stowarzyszeń, oświatę ludu mających na celu; we Lwowie już takie towarzystwo zawiązano; stowarzyszenie dla wydawnictwa książek ludowych dało pierwszy znak życia kilkoma broszurkami, nakoniec „Macierz polska" wkrótce żyć pocznie.

Wszakże takie stowarzyszenia już istniały, dużo się już zawiązywało, nawet znaczne fundusze zebrano i wydano na tanie książki, a gdzieś to wszystko znikło bez żadnego śladu... Dlatego ośmielam się w tej sprawie głos zabrać i jak najkróciej i najtreściwiej przedstawić zajmującym się sprawą tanich wydawnictw, kilka myśli, jak sądzę użytecznych.

Przez długi czas przypatrywałem się we Francyi trybowi wydawnictw tak luksusowych, jak zaspakajających potrzeby bieżącej ak najszerszej publiczności, a następnie i tanich książek dla najbiedniejszych klas. Dało mi to sposobność poznać praktyczną stronę produkcyi i zbytu, a daje mi dziś odwagę przemówić do światłych kierowników stowarzyszeń oświaty ludowej.

Wydać tanią książkę, to dopiero czwarta część zadania, jakie ma spełnić Towarzystwo pragnące rozszerzyć oświatę i moralność (*) między ludem miejskim i wiejskim. Należy zmusić ten lud do czytania i to stanowi trzy czwarte i najtrudniejsze części pracy.

Myli się ten, kto sądzi, że książeczki trzeba rozdawać. Darowanemu koniowi nie zaglądają w zęby, a do darowanej książki nie zagląda się wcale. Za książkę trzeba sobie kazać zapłacić, niechby tylko jednego centa, ale tego centa trzeba wziąć koniecznie. Człowiek wogóle nie lubi szkody ponosić a poniesioną chce sobie wynagrodzić, choćby w najdrobniejszej części, chce odbić grosz wyrzucony. Szczególniej stosuje się to do książek i wogóle druków; a im kto mniej ma ukształcenia, im jest mniej cywilizowany, tem więcej żałuje pieniędzy na druki. Zmuszony zaś do kupienia, bierze nieszczęśliwy papier do ręki i mówi sobie w duchu: „Trzebaż zobaczyć, za co ja zapłaciłem, i odbić w jakiś sposób grosz wyrzucony". Zacznie zatem przebiegać książeczkę, a jeśli rzecz dobra i zręcznie napisana, biedna ofiara cywilizacyi przeczyta ją od deski do deski, zainteresuje się, za drugim razem łatwiej da się zmusić do kupna, chętniej spojrzy do środka i oto czytelnik stworzony. Czytelnika bowiem stworzyć trzeba i to mimo jego woli. Dobrze to rozumieją kolporterowie i przemysłowcy francuscy. Cierpliwością pokonywują chciwość, lenistwo i upór publiczności. Wiedzą oni że cała sztuka sprzedaży opiera się na tem. „Kto kogo przetrzyma." Ścigają oni dopóty opornego osobnika, dopóty dręczą i nudzą, aż z niego zrobią czytelnika. Takim sposobem sprzedają książki a raczej wbijają (on colle) zamożniejszym, jednosusowe zaś dzienniczki najniższym warstwom.

Nie należy bowiem sądzić że Francuzi z natury chciwi są wiedzy i że się rodzą już czytelnikami. Chłop francuzki oszczędny, pracowity, lubi grosz i chciwie go zbiera. Wielką ofiarą dla niego wydać jeden sou; podaje mu się dzienniczek dziesięć razy z kolei, czyta mu się z niego bardziej zajmujące rzeczy, a jeśli i to nie pomaga, czyta się jego żonie. Zaciekawia się ją wiadomością o sposobie łatwym zarobkowania przez rozwój jakiejś części gospodarstwa domowego, fejletonem, który w numerze kończy się straszliwemi słowami: ,,ukazuje się człowiek zamaskowany, podnosi rękę uzbrojoną w potężny nóż, ona (bohaterka) pada na kolana... (dalszy ciąg nastąpi)." Poczciwa wieśniaczka czeka niecierpliwie drugiego dnia kupuje numer następujący... i tak dzienniczek wślizną się jak wąż do chaty; potem zwolna egzemplarz jakiejś książeczki „Bibliothéque nationale" albo wydawnictwo „Mame'a" lub wreszcie nawet i broszurka polityczna. Znając zaś naszego i francuzkiego wieśniaka, ręczymy nawet, że nasz łatwiej da się nakłonić do kupna książeczki, niż francuzki.

Książeczka powinna być tania, z początku sprzedawana ze stratą, a cena nie przenosić trzy lub cztery centy. Właśnie tę stratę czyli niedobór pokrywać będą fundusze stowarzyszenia. Lepiej dokładać ciągle, niż żeby stosy wydawnictw pleśniały po kątach u księgarzy, antykwarzy lub byłych prezesów i sekretarzy towarzystw. Książki powinny nadto poruszać i rozbierać najważniejsze interesa ludu w prostych i jasnych wyrazach; wskazywać jak ma wieśniak postępować, aby od-

(*) Autor jest korespondentem „Tygodnika" ze Lwowa, artykuł zatem napisany oparł na miejscowych Galicyi stosunkach.

(*) Powiadam: oświatę i moralnośc, rozdzielać ich bowiem niewolno; nauczcie pisać niemoralnego człowieka, to podacie mu sposób sfałszowania wekslu.

nosił korzyść nietylko moralną, ale i materyalną. Powiedzmy szczerze, przemawiając do każdego wieśniaka w imię moralnych tylko zysków, nie daleko zajdziemy. Zainteresujmy go naprzód, wskażmy mu uczciwą materyalną korzyść, niech się raz przekona namacalnie, że postąpiwszy według wskazówek książeczki, zyska kilka groszy, jak mu książeczka obiecywała, a zdobyliśmy czytelnika. Zasady moralności, któremi tchnąć winna cała książeczka, wsiąkać będą zwolna w duszę wieśniaka, który ani domyślać się będzie, że najważniejszy, według jego pojęcia przedmiot książeczki był tylko przynętą, haczykiem, cukrem, okrywającym pigułkę, która ma mu przynieść zdrowie moralne. Później, gdy przywyknie do czytania, można przejść do przedmiotów czysto moralnych lub naukowych; z początku jednak (ale tylko z początku!) twierdzimy to stanowczo, koniecznem jest uderzyć w stronę interesu. Trzebaby także raz dać pokój powiastkom i wogóle porzucić to przekonanie, że wieśniakowi jak dziecku należy w bajce naukę podawać.

II. Taniość i praktyczna treść książki będą jednym z warunków powodzenia a zatem i sprzedaży.

Jeżeli więc książeczka będzie posiadać te wymagane zalety, zrobi niewątpliwie dobre wrażenie na umyśle czytelnika. Idzie tylko o to, ażeby mu ją sprzedać. Niezmiernie wielu jest u nas ludzi rozprawiających o kolporterce; marzą niektórzy, iż należy wysłać z wózkiem człowieka, któryby jechał i książeczki tanie sprzedawał jak tanie pieczywo. Człowiek i koń zjedzą dziennie więcej dziesięć razy niż sprzedaż dzienna wyniesie, a cena książeczki 4-centowej po dwutygodniowej podróży dojdzie do wysokości dukata. Czy na taki zbytkowny sposób sprzedawania swoich wydawnictw stać jakie towarzystwo, nie wiem — ale że się celu nie dopnie to wiem z pewnością.

Kolporterkę trzeba uorganizować na zupełnie innych podstawach. Zamiast kolporterów krążących, o których marzą u nas, potrzeba się postarać o kolporterów miejscowych.

We Francyi kolporter (mówiąc o większych przedsiębiercach) mieszka w Paryżu, aby być u źródła produkcyi i u źródła powodzeń. Jak tylko przewiduje sukces, nabywa większą ilość egzemplarzy i śpieszy z przesłaniem ich na prowincyą do swoich miejscowych kolporterów.

Ale inna rzecz u nas, inna w zasobnej Francyi, gdzie stan średni w warstwy społeczne wysoko w górę sięga i bardzo nizko schodzi na dół. Tam miejscowi kolporterowie mogą się oddać temu zawodowi, bo wyżyć z niego jest możliwe; zresztą Francuz przywykły do pracy, do zapobiegliwości, wolny czas od zajęcia w biurze lub zakładzie, poświęca kolporterce, przysparzając sobie tym sposobem dochodu.

U nas sprzedaż tanich wydawnictw musi się zastosować do miejscowych warunków. Pozwolę sobie krótko naszkicować, jak mnie się projekt organizacyi kolporterki przedstawia.

Do wyżej wymienionych warunków powodzenia, książka musi być wszechobecną, wciskać się jak powietrze i światło przez każdą szczelinę, jaką tylko nieuctwo lub chciwość najniższych warstw pozwoli dojrzeć, musi więc być w każdej wiosce i czatować na sposobność wśliźnięcia się do chaty. Należy zatem mieć stosunki nietylko w miastach ale i w każdej wsi. Żeby tego dopiąć, organizacya opierać się winna na *ajentach i właściwych kolporterach*. Ajentami, lub żeby drażliwych u nas ludzi nie obrazić, protektorami czyli członkami wspierającymi, byliby ci, którzyby 1) bezpłatnie utrzymywali u siebie *składy* większe lub mniejsze tanich wydawnictw; 2) zajmowali się wyszukiwaniem w miejscu zamieszkania miejscowych kolporterów; 3) sprzedawali im lub powierzali na kredyt podług własnego uznania wydawnictwa i 4) zarządowi towarzystwa odsyłali pieniądze.

Takimi członkami wspierającymi lub protektorami,—o nazwę mi nie chodzi, mogliby być w miasteczkach: lekarz, adwokat, profesor, aptekarz, pocztmistrz, lub jakikolwiek inny, byle czynny i energiczny członek towarzystwa oświaty. Na wsiach: proboszcz, organista, nauczyciel, rządzca, ekonom, właściciel obszaru dworskiego, a szczególniej *panie*. Przez nie najwięcejby się dało zrobić, trzeba tylko nakłonić je do zajęcia się ludem. Na kolporterów możnaby brać w mieście: kramarzy wszelkiego rodzaju, tak zwanych grajzlerów, sprzedających nici, igły, tasiemki, obrazki, korzenne towary i t. p. Wędrujący kramarze mogliby być bardzo użyteczni. Na wsiach zaś: służba dworska, arendarze katolicy, nawet sami włościanie inteligentniejsi.

Do utworzenia takiej organizacyi popierania, dozorowania przyczynićby się mogły gdzie są Rady powiatowe, Rady miejskie, wszelkie Rady szkolne, duchowieństwo, obszary dworskie, siły nauczycielskie, łatwo bowiem byłoby im wynaleźć na miejscu odpowiednich ludzi dla powierzenia im składów *większych, centralnych, dystrybucyjnych* (jak kto chce je zwać) czy też drobnych, mających za zadanie samąż sprzedaż.

Dostarczanie wydawnictw *en gros składom głównym* mniejby kosztowało, niż objazd koniem i wózkiem; rozsyłka zaś do wsi prawie nic lub wcale nic, bo mogłaby się uskutecznić przy byle jakiej sposobności. Koszta więc transportu dałyby się zredukować *ad minimum*, a to rzecz ważna.

Manipulacya mniej więcej byłaby taka: Wychodzi książeczka, wydana przez Towarzystwo, które ją rozsyła członkom utrzymującym *składy główne*. Ci rozprzedają za gotówkę lub na kredyt swym kolporterom (kramarzom, arendarzom, wieśniakom i t. p.). Jeżeli koszt książeczki jest 6 ct., egzemplarz winien się sprzedawać po 6 ct. Z tego Towarzystwo pobiera tylko 3 ct., drugie 3 pokrywa fundusz Towarzystwa. *Trzy* owe pozostałe ze sprzedaży centy otrzymuje kolporter, który mieć zawsze powinien 50 proc. zarobku.

Że te 30 cent., zarobione na 10 egzemplarzach, skłonią organistę, karczmarza, kogokolwiek do wciskania broszurek, mając nadto zachętę od członka Towarzystwa, to niewątpliwa. Widzimy sami trudności wytworzenia takiej organizacyi — ale gdyby się na trudności tylko zwracało uwagę, nic by się w świecie nie zrobiło. Nieco dobrej woli i wytrwałości, a czyż się nigdy tej ostatniej cnoty nie nauczym? Wybór ludzi jest tu wszystkiem — wybór zaś miejscowych kolporterów, jarmarcznych, wędrownych lub osiadłych kramarzy należy powierzyć kierownikom *składów centralnych*. Ci na miejscu najlepsze o każdym będą mieli wiadomosci, i najodpowiedniej postąpią.

Wszystko dość ogólnie wypowiadam, trudno bowiem w szczegóły się wdawać. Na zakończenie jednak dwie myśli podaję komu należy.

Widziałem u antykwarzy tarzające się egzemplarze wydawnictw tanich, wydrukowanych przez dawne Towarzystwa oświaty i t. d. Byłoby dobrze wyszukać to, co pleśnieje w księgarniach i u prywatnych ludzi, wybrać co najodpowiedniejsze, nabyć i zużytkować. Znam kilka rzeczy wcale dobrych.

Nakoniec w *Ruchu Literackim* podałem był myśl podjęcia takich *obrazkowych arkuszy*, jakie milionami rozchodzą się po Francyi. Nazywa się to *Imagerie populaire* (*d'Epinal*). To są serye rysunków odbijanych i kolorowanych w druku i przedstawiających różne moralne dziecinne historyjki, wyobrażone w szeregu scen z odpowiedniem u dołu a krótkiem objaśnieniem każdej sceny.

U nas możnaby dawać żywoty świętych, sceny z pisma świętego, powiastki moralne, żywoty znakomitych ludzi, wypadki historyczne, wiadomości z nauk przyrodniczych i t. p.

Jest to potężny środek działania, a Towarzystwa oświaty ludowej pominąć go nie powinny.

Ale i tego wszystkiego nie dosyć. Towarzystwo oświaty musi się zwrócić nietylko do nieoświeconych, ale przedewszystkiem do oświeconych, wyrwać ich z martwoty, obojętności, lenistwa, bezmyślnego snu nad przepaścią i pod hasłem *Vivos voco!* powołać do pracy tak szczytnej, tak ważnej, tak koniecznej, tak łatwej i tak mało wymagającej czasu i trudu! Rzucać ziarna Boże, oświecać umysły, uszlachetniać z ciemnej, groźnej siły, z zaniedbanej, opuszczonej, zręcznej masy, jakby odnawiając cud stworzenia, wydobywać ludzi, obywateli, braci, czyż to nie najpiękniejsze zadanie dla człowieka, czyż nie najszlachetniejszy obowiązek dla was kapłani, dla was potomkowie tych, którzy w jednej dłoni pióro, a w drugiej miecz dzierżyli, dla was członkowie sądownictwa, nauczyciele i wy wszyscy którzy twierdzicie, że macie cześć dla wiedzy, i cnoty, dla światła i podniosłych uczuć, że wierzycie w ludzkość, postęp i że kraj kochacie? Dowiedźcie tego. Pole ogromne, nietknięte, ziarna nie zabraknie, niechże i siewców nie braknie!

Niewesoły obrazek.

Maleńka dziecina, w poduszki spowita,
Za światłem oczkami wciąż goni,
I rączką za świecę palącą się chwyta,
Choć niańka zabawki tej broni;
Instynktem chce światła, chce ciepła niebożę,
I krzywi usteczka, że dostać nie może!

Sierotka, wśród obcej się chowa rodziny,
Chleb biednej podają z ochotą,
Lecz darmo po uścisk wyciąga ręczyny,
Nikt do niej nie przyjdzie z pieszczotą,
Nikt z ciepłem serdecznem nie spieszy dziewczęciu,
Więc płacze i matki grób tuli w objęciu!

Z dziewczęcia dziewica wyrosła powabnie,
Świat rzuca pochlebstwa liczmany,
A ona przyjaźni w nich szuka i pragnie,
I nie wie, że kwiat to nieznany;
O ciepłem gdzieś sercu cichutko wciąż marzy,
I chwyta wciąż mary, i... zdradą się parzy!

Lecz cicho... ksiądz stułą wiąże ją z czcicielem,
Ma miłość! o! los ją bogaci!
Niestety, mąż sobie pozostał sam celem,
Wziął serce i skąpo zań płaci!
Czyż nie wiesz niebogo, co mówi baśń stara,
Że życie kobiety to krzyż i ofiara?

Krzyż przytul do łona, pokorna i cicha,
Śnij pasmo zawodów bez końca,
Z uśmiechem pij życie z poświęceń kielicha,
Myśl podnoś do uczuć wszechsłońca;
Tęsknota za szczęściem jest dla nas tu katem,
Więc szczęście być musi nagrodą... za światem!
Aniela G.

Z PAMIĘTNIKÓW Leandra Szyszeczki-Walskiego.

Spisane przez

Lodomira Szczerbowicza Wieczora.

(Dalszy ciąg.)

Zbyt byłem jeszcze mały w ostatnich latach życia Fiedory, ażebym mógł wiele zapamiętać z jej opowiadań o wypadkach krajowych: mnie samemu, jako dziecku, mało pewno Fiedora o tych rzeczach mówiła. Przypominam sobie jednak jedną jej opowieść, która mi głęboko w umyśle utkwiła i która zarazem świadczy, jak nieprzerwany związek dawnych tradycyi istniał jeszcze wówczas na Litwie.

„Wszystkie kobiety w naszym rodzie — mówiła Fiedora — żyły bardzo długo, prawie tyle co ja, ostatnia. Mężczyzni zato żyli krótko i od czterech pokoleń wszyscy zginęli albo na wojnie albo od zabójców. Musiała to być kara Boża na mężczyzn za to, że niebardzo czasem dobrze zachowywali się względem panów, a nagroda dla kobiet, które zawsze były wierne i przywiązane do państwa. Tak, kiedy jeszcze byłam małą dziewczynką, pamiętam, co babka moja Pałusia opowiadała o swoim mężu, a moim dziadku Zmitruku i o jego ojcu Kondracie. Ten Kondrat, mój pradziad, służył u pana Żaby i razem z nim poszedł na wojnę na Ukrainę, gdzie to wtedy — będzie to już chyba dwieście lat temu — strasznie *buszowali* kozacy. Pan Żaba był piękny i młody, a waleczny i dzielny; poleciał na wojackę, zostawiwszy w domu młodą żonę i dwoje dzieci. Nie wrócił już z wojny, nie wrócił także i Kondrat. Różnie o tem mówiono, aż później pewna przyszła wiadomość że Kondrat wydał swego pana w ręce kozaków, którzy go zabili, a sam przyłączył się do nich, ale w kilka miesięcy także zabity został przez tatarów, którzy wtenczas królowi pomagali. Żona Kondrata, a moja prababka, dowiedziawszy się o tak brzydkiej zdradzie swego męża, uciekła z dziećmi do lasu i tam trzy dni płakała, nic nie jedząc, a i dzieci zdrajcy głodem zamorzyć chciała. Jednakże pani Żabina posłała ludzi, którzy znaleźli prababkę z dziećmi i odprowadzili do dworu; resztę życia biedna kobieta spędziła, jako najwierniejsza sługa i piastunka dzieci pana Żaby. Umarła, mając lat przeszło sto, podobno tegoż roku, kiedy ja się urodziłam. Syn Kondrata Zmitruk był pacholkiem u jednego z panów Piszczałów, krewnych Żabów, i razem z nim chodził na Turka aż pod Wiedeń z królem Sobkim i bił się ze Szwedami, ale podobno z bitwy zawsze uciekał i zato go raz swoi zastrzelili. Ten także żył niedługo, a Zmitrukową ja jeszcze dobrze pamiętam, rządziła ona całym domem państwa Piszczałów i nie było wierniejszej nad nią sługi. Syn Zmitruka, ojciec mój Pilip nie był na żadnej wojnie, boć wtedy na granicach było cicho, tylko sami panowie czasem czubili się między sobą; ale i ten zginął marnie w Wilnie, gdzie był z księciem Radziwiłłem, kiedy to inny jakiś pan (Fleming) kazał walić z armat do kamienicy Radziwiłłowskiej. Matka moja służyła potem długo w Nieświeżu i w Radziwilmontach i zawsze mnie mówiła, że kara Boża wisi nad wszystkimi mężczyznami z naszego rodu — nie wiadomo, do którego pokolenia, bo któż odgadnie wyroki Boże? Nieboszczyk mąż mój zginął gdzieś bez wieści, gdy służył za przewodnika Francuzom w 12 roku — lud na Litwie rok 1812 nazywa zawsze „dwunastym rokiem" — a ja, na szczęście, nie miałam już synów, nie patrzałam na karę Bozką, co już się spełnić musiała." W tem opowiadaniu przedewszystkiem uderzyło mój umysł dziecinny to, „że Fiedora z naganą wspominała o własnych przodkach; wzmiankowane przez nią wypadki nie były już mi całkiem obcemi i wprędce zrozumiałem przyczynę bezstronnej otwartości Fiedory."

O Radziwiłłach, o ile pamiętam, Fiedora opowiadała niewiele: i w tem może bezwiednie, a może i ze świadomością, trzymała się tej samej zasady pedagogicznej, co w unikaniu cudownych bajek. Może mniemała, że lepiej milczéć jeżeli nie ma nic dobrego do powiedzenia i nie chciała umysłu dziecinnego poić opowieściami o nadużyciach, bójkach i pijatykach, które stanowią jedyną treść o księciu Panie Kochanku i jego rodzinie. Samego tego księcia Fiedora dobrze pamiętała; w Nieświeżu przyszła na świat i tam pierwszą młodość spędziła, ale nie lubiła wspominać o ks. wojewodzie — może miała jakieś niemiłe, a może zbyt miłe o nim wspomnienia... Czasem tylko dworskim ludziom rzuciła anegdotkę o podróży księcia sankami w lecie po drodze usypanej miałkim cukrem, o lisach z zapalonemi pękami słomy u ogonów, które książę wypuszczał na pola tych ze szlachty, którzy jego względy stracili i t. p. Pojedyncze te rysy dolatywały później przypadkiem do moich uszu dziecinnych. Ducha, urządzenia i politykę feudalnej monarchii Radziwiłłowskiej z czasów nieco późniejszych, znam dobrze z własnych wspomnień, które może gdzieindziej opowiem.

Fiedora w ostatnich latach życia zapadała na zdrowiu, zwłaszcza w zimie, ale nie była to żadna określona choroba, lecz niemoc starości. Wtedy po dni kilka, a czasem i po kilka tygodni leżała na ciepłym piecu w kuchni — jak to na Litwie dawniej piece urządzano — pijała nieco grzanego wina i zjadała trochę drobiu — zwykle od lat wielu ani trunków ani mięsa nie używała—i tak „wyleżawszy się, znowu wydobrzała" jak mówiła. Pewnej jednak zimy — miałem wówczas zaledwie szósty rok życia — nie widziałem Fiedory dłużej niż zwykle. Na jej miejsce bawiła mnie szesnastoletnia dziewczyna, imieniem Anielka, o dużych niebieskich oczach i rozpuszczonych białych jak len włosach. Ta nowa niańka musiała mieć minę do zbytku łagodną, gdyż wkrótce nazwałem ją „owieczką" i nie mogłem przyzwyczaić się do niej, woląc poważną, niemal surową twarz Fiedory. Nie przychodziła Fiedora coraz to dłużej; czekałem jednak cierpliwie, bo raz mi mówiono — że pojechała do wnuczki, to znowu że nieco chora, aż nareszcie zacząłem pojmować czyli raczej przeczuwać, że nie zobaczę jej więcej. Pewnego poranku, jak tylko Anielka przyszła mnie ubierać, odwróciłem się od niej i mimowoli zalałem się gorącemi łzami. Dziecięce serce przeczuło, choć nikt jeszcze tego nie powiedział, że poczciwa stara Fiedora umarła. Powiedziano też mi to wyraźnie, (bez używanych dzisiaj, wątpię czy bardziej zrozumiałych omówień w guście np. „poszła do Bozi"), ale aż po pogrzebie Fiedory, na którym być mi nie pozwolono. Wiedziałem już nieco o śmierci, bo niedawno byłem na pogrzebie pana Jelca w kościele kleckim, pysznie w czarne ze srebrem całuny przybranym, i zrozumiałem, że kto umarł tego zaniosą w trumnie na cmentarz koło „Iryny" (cerkwi św. Ireny) i tam go zakopią na zawsze. Toż już przecie umiałem czytać i znałem z elementarza tę kwintesencyą filozofii, tak niezrozumiałą dla umysłów dziecięcych: „Bóg widzi, czas ucieka, śmierć goni, wieczność czeka." Pochowali więc i Fiedorę około „Ireny" w sąsiedztwie rozległej płaszczyzny, tu i owdzie jeszcze przeciętej wałami i szańcami, gdzie za króla Aleksandra Gliński zadał pamiętną klęskę Tatarom.

II.

CZASY PRZEDSZKOLNE.

Wydaje mi się rzeczą niewątpliwą, iż ważną pomocą w wychowaniu i znajomości duszy dziecięcej, ważnym przyczynkiem do zbogacenia pedagogii i psychologii, byłyby dokładne wspomnienia i uwagi ludzi myślących o swem własnem dzieciństwie, szczegóły z dziejów rozwoju władz umysłowych i pierwiastkowego kształcenia, zwłaszcza przedszkolnego, domowego. Przy pomocy jak największej ilości takich uwag i spostrzeżeń, niejedno przypuszczenie teoretyczne w psychologii i w nauce wychowania stałoby się jasnym i niewątpliwym pewnikiem, opartym na doświadczeniu najpewniejszem i najprzystępniejszem, bo wewnętrznem, w którem własne *ja* ludzkie jest zarazem i obserwatorem i przedmiotem spostrzeżeń, to jest własny duch nasz rozpatruje się sam w sobie. Rozszerzyłaby się wtedy i ułatwiła droga analogii, to jest wnioskowania o niepewnem na podstawie podobieństwa, i z większą pewnością moglibyśmy odgadnąć, co dzieje się w duszy młodocianej w różnych okresach i fazach jej rozwoju, gdyż w rzeczywistości niezmiernie trudną jest rzeczą *wejść w położenie* dziecka, to jest stanąć na punkcie jego zapatrywania się i ruchu umysłowego w danej chwili: zadanie to ułatwia się tylko wtedy, gdy możemy zdać sobie dokładną sprawę z odpowiedniego i podobnego stanu duchowego w naszem własnem dzieciństwie.

Ponieważ obrazek niniejszy nie ma być rozprawą filozoficzną ani rozdziałem z pedagogii teoretycznej, dodam więc, dla uspokojenia czytelników, że rzuconej powyżej kwestyi nie zamierzam tu rozwijać wyczerpująco: przytoczę tylko parę próbek, dla przykładu, i nieco wspomnień z rzeczywistości, a rad będę jeżeli ten szkic nietylko zaspokoi ciekawość, ale zostanie skromnym przyczynkiem do kwestyi pedagogicznych. Mniemam bowiem, że wiadomość o tem, co było dawniej prowadzi drogą porównania z tem, co jest teraz i z tem co jeszcze dawniej bywało, do wyrobienia rzetelnej oceny i mniej więcej dokładnych poglądów o tem, jak być powinno, a to nawet i w takim razie, gdyby sam autor powstrzymywał się od kategorycznych pochwał i nagany.

Wracając więc do owych pierwiastkowych wspomnień dzieciństwa, czyli raczej od nich niniejsze opowiadanie poczynając, utrzymuję naprzód, że człowiek pamięta siebie niemal od pierwszych chwil przyjścia na świat. Fakt ten nie został dotąd przyjęty jedynie dlatego, że niewiele zwracano uwagi na tę kwestyą; przytem może nie znalazło-

by wiary twierdzenie, że ktoś pamięta siebie jeszcze w kolebce, a wiadomości, wynikające z własnych spostrzeżeń wewnętrznych, wymagają, aby im wierzono, zwłaszcza gdy niekażdy wynik tego rodzaju może być przez każdego przy pomocy własnych doświadczeń i wspomnień stwierdzonym. Jeden więc mówi, że pamięta siebie od czwartego roku życia, inny — od trzeciego lub piątego; ktoś nawet, co rzadko się trafia, dowodzi, że przypomina siebie już w drugim roku życia; ja zaś na podstawie wyraźnych wspomnień, jestem przekonany, że pamiętam siebie jeszcze niemowlęciem w kolebce, nieumiejącem chodzić, noszonem na ręku przez niańkę i stawianem często na fortepianie lub na okrągłym stole, pokrytym żółtą serwetą.

(D. c. n.)

DO ALGIERU
przez Hiszpanią i Maroko.

Przez

T. VERNES d'ARLANDES

Przekład

J. Belejowskiej.

(Dalszy ciąg.)

II.

BURGOS.

Późno w nocy przebudziło nas wołanie: „Burgos, pięć minut!” Oklepane te słowa dziwnie jakoś zabrzmiały u bram starego grodu Cyda. Nic przykrzejszego jak przybywać w nocy do miejsca, które gorąco poznać pragniemy i którego postać od dawna wytworzyła się w naszej wyobraźni. Staramy się odgadnąć jak wyglądają ulice i place które mijamy, a którym ciemność nadaje jakieś fantastyczne kształty.

Na stacyi znajdował się tylko jeden nędzny jakiś powozik. Bruk niegodziwy, latarnie tak rzadkie i ciemne iż blady i posępny ich odbłysk niezdolny jest oświetlić ulic. Czytałem tyle przerażających opisów zajazdów i hoteli hiszpańskich, iż strach mnie przejmował na myśl jakie znajdę schronienie.

Nareszcie po strasznem ostatniem wstrząśnieniu wehikuł zatrzymał się w wązkiej ciemnej uliczce, stanęliśmy przed najpierwszą oberżą (fonda) w mieście. Powierzchowność usprawiedliwiała moje obawy. Duszące wyziewy, stare niewygodne schody, dymiąca lampa, wszystko to nie zapowiadało wygodnej gospody, gdy jednak zaprowadzono mnie do dwóch pokoi przeznaczonych dla cudzoziemców, przekonałem się z zadowoleniem „że nie taki djabeł straszny jak go malują.” Pierwszy pokój, zwany salonem, choć dobrze podszarpany, wyglądał jakoś niezgorzej; były w nim meble, które za swoich młodych lat mogły być wcale pokaźne, część wypłowiałego, zapewne przez Maurów pozostawionego dywanu i — kominek! Wprawdzie dymił porządnie, ale mimo to był bardzo pożądanym gdyż zimno było i wietrzno. Pokój sypialny nie zalecał się wygodą, był jednak daleko porządniej i czyściej utrzymany niż można się było tego spodziewać sądząc po nędznych i opuszczonych izdebkach przeznaczonych dla podróżujących krajowców.

Obiad podano w tak zwanym salonie, składał się z jakichś dziwnych ale dość smacznych potraw. Do stołu posługiwały kobiety; jest to zwyczaj miejscowy rzucający jakby odcień życia rodzinnego, co miłe wrażenie sprawia na podróżnych.

Zręczne dziewczęta spełniają natychmiast każde skinienie gospodarza, który sam jak najuprzejmiej koło nas się krząta. W innych hotelach wyjątkowa taka uprzejmość ma swoją cenę i podaje się w rachunku: tu nie miało to miejsca, rachunek był bardzo umiarkowany. Przyznać jednak muszę że wogóle w Hiszpanii hotele wiele zostawiają do życzenia, ale w tej części Kastylii znać już pod tym względem postęp na drodze cywilizacyi.

W Burgos, najgodniejszym przedmiotem widzenia jest sławna katedra, istny cud architektury. Może niektóre katedry w Normandyi i w Anglii mogą szczycić się większemi rozmiarami i majestatycznością, ale żadna nie odznacza się taką wielostronnością gotyckiej architektury, jakby delikatną koronką powleczonemi wieżycami, strzałami i łukami, pięknemi ażurowemi balustradami, otaczającemi ściany jakby zwoje bluszczu, żadna nie łączy w harmonijniejszą całość tych różnorodnych szczegółów.

Sklepienia, przedstawiające zazwyczaj posępne nagie powierzchnie, pokrywają tu wytworne i bogate rzeźby, pomimo odległości zadziwiające sprawiając wrażenie. Piękny gotyk XIII wieku zaleca się zarazem powabem i wzniosłością. Tu kamień zdaje się przemawiać, tłomaczami jego jest niezliczona liczba posągów w najrozmaitszych postawach; grobowce znajdujące się w licznych kaplicach, z których każdy opowiada świetne czyny sławnych rycerzy lub szlachetnych pań królestwa Starej Kastylii, tak bogatej w cudowne legendy.

Najwięcej zajmującą i najsłynniejszą z nich jest legenda o bohaterskim Cydzie; ośm upłynionych wieków nie zdołało zatrzeć jej sławy i uroku. Dziwna rzecz! ludy daleko lepiej i dłużej przechowują pamięć tych co zabijali ich bliźnich, niż tych co stali się prawdziwymi dobroczyńcami ludzkości.

W Burgos, co krok spotykamy się z Cydem, wysoka jego postać unosi się po nad staremi murami. W pośród nich pokazują zgliszcza jego mieszkania, obok których wzniesiono mu pomnik przewyższający przyległe wzgórza, na ktorych stoi klasztor w którym znajduje się grób Cyda i znakomitej jego rodziny. Doznałem niemiłego zawodu i przykrego wrażenia zwiedzając ten *Ayuntamiento*, skoro wprowadziwszy mnie do dawnej zniszczonej sali, przewodnik z dziwnem zadowolnieniem ukazał mi stojącą w niej jakby starą skrzynkę, uważaną za największą osobliwość. Osobliwszy ten sprzęt otwierają każdemu bez najmniejszych formalności, aby zdumionemu przybyszowi okazać dwie garście kości. Na jednej stoi napis „Cyd” na drugiej „Hymena”. Próżność próżności! pomyślałem; wartoż było być wielkim bohaterem, dokonać tak wielkich zwycięztw, tak wielką czuć i wzbudzić miłość, aby w końcu stać się marną garścią prochu!...

Jakże to gorzkie stanowi szyderstwo widok tych smutnych szczątków, jeżli wskrzesimy sobie w pamięci świetność tych dwóch istot, których wspomnienie unosi się tu jak świetlany promień słońca, rozpraszający chwilowo ciemnoci grobu! Mimowolnie przychodzą na myśl naiwne zwrotki *Romancero* opiewające jak to pięknie i bogato ubrał się Rodryg, mając brać ślub z Hymeną; poczem zszedł na dziedziniec pałacowy, gdzie oczekiwali na niego król, Hymena i biskup Calvo.

„I Hymena równie bogato i wspaniale była ustrojona. Bogata suknia leżała prześlicznie; na głowie miała strój zwany *papos*; na nóżkach szkarłatne trzewiczki; szyję otaczał naszyjnik złożony z ośmiu medalionów, wyrób ich był tak mistrzowski, wartość tak wielka, iż za jeden całe miasto kupićby można.

„Rodryg utkwił wzrok w swej ukochanej i rzekł całując jej rękę: „Zabiłem twego ojca ale walcząc jak mąż z mężem aby pomścić zniewagę. Zabiłem go, oddaję ci siebie za niego — masz człowieka za człowieka — jestem na twoje rozkazy.”

I wszystkim wydało się to dobrem i naturalnem.

„W dzień ślubu, Burgos, dumne że w jego murach odbył się ślub tak wspaniały, roztoczyło niesłychany zbytek kwiatów i kobierców. Wtem nagle rozległ się w oddali odgłos trąb Maurów; zarżał rumak Rodryga; w tej chwili Campeador chwyta niezwyciężoną szpadę swoją i odjeżdża. Osamotniona Hymena, patrzy z po za okien Cardena na trzody rozbiegłe po spieczonej płaszczyznie, patrzy na wschód i zachód słońca, według których liczy ubiegłe dni. Przygniata ją ciężar wspomnień i smutku. Wtem jednego wieczora dźwięk rogu strażnika z wieżycy zwiastuje zbliżanie się posłannika; w oddali na horyzoncie ukazują się chorągwie i sztandary. Już i zastęp wojska odróżnić można, oraz przodującego mu rycerza. Hymena powstała drżąca; wrzeciono z rąk jej wypadło; „To mój pan! to mój Cyd! zawołała, i chwiejąca trzymając się poręczy, zbiegła z marmurowych schodów. Ukochany Rodryg ujrzał ją na progu omdlewającą ze wzruszenia, i ujął w swoje objęcia.”

Jakże to dziwną tworzyłyby sprzeczność wielkie wspomnienia o tych drgających życiem cieniach, w obec tych marnych szczątków, gdyby potęga wiary nie była tak silną iż nawet groby rozjaśnia i martwych budzi do życia... Takie to właśnie rażące sprzeczności wykazują najlepiej wyższość myśli, a poczucie nieśmiertelności duszy protestuje zwycięzko przeciw nicości jaką mamy przed oczami!

Groby królewskie, jakie podziwialiśmy w pobliżu miasta w klasztorze Kartuzów w Miraflores, byłyby daleko odpowiedniejszem miejscem spoczynku dla popiołów pogromcy Maurów, niż nędzna skrzynka w jakiej nam je pokazano. Trzeba było przynajmniej złożyć je w monasterze San Pedro de Cardana, gdzie Cyd przemieszkiwał kiedyś, lub najlepiej w majestatycznej katedrze, w której znajdują się nagrobki Cyda i Hymeny, w postawie leżącej, z twarzą zwróconą ku niebu, pod cieniem milczących sklepień.

Burgos tem jest poniekąd dla północy Hiszpanii, czem jest Werona dla północnych Włoch. Oba te miasta przedstawiają dziwną mieszaninę starożytnych, ponurych i groźnych budowli, świadczących że w wiekach w których je wznoszono trzeba było przedewszystkiem myśléć o obronie, a każdy ówczesny budowniczy musiał być zarazem wojskowym inżynierem.

Tuż obok gmachów starożytnych, w obu miastach pełno jest domów tegoczesnych, odsłoniętych i pociągniętych żywemi i wesołemi kolorami, w których czerwony łączy się z niebieskim i fiołkowym. W Burgos szczególniej, te stare mury tak ponure i zdające się pragnąć nocnych ciemności, dziwną tworzą sprzeczność z owemi jaskrawo

pomalowanemi fasadami które, choć także często stare, zdają się mizdrzyć i zalecać do słonecznego blasku.

(*D. c. n.*)

KORESPONDENCYA

ZE LWOWA.

Styczeń.

Karnawał chory na suchoty. — Przyjazd Kraszewskiego. — Prace *Koła literackiego*. — Komitet pomocy dla ofiar katastrofy warszawskiej. — Śmierć D-ra W. Wołka, prof. Syrskiego, Ignacego Łukasiewicza, Al. Jaźwińskiego, Wł. Strzembosza, ks. O Hołyńskiego. — Nieudana Louise'a Lateau. — *Rodzina*. — *Reforma*, *Różowe Domino*, *Olimp*. — Czytelnie ludowe. — Nagrody z wystawy robót kobiecych.

Gdybym miał zaszczyt ustnie rozmawiać z Tobą, powabna Czytelniczko, pewnie zapytałabyś twego sługę: „jakże się bawisz we Lwowie? czy karnawał ożywiony?" Z najwyższem zdziwieniem odrzekłby każdy korespondent a więc i ja: „jaki karnawał? czy to już karnawał? No, proszę, jak ten czas leci, ja myślałem, że to dopiero post zeszłoroczny." Powietrze bowiem mamy marcowe a ciszę postną. Szperając dobrze i używając wielkiego teleskopu, dojrzałoby się może na firmamencie lwowskim świat niedojrzany okiem gołem zwykle gołego czy tam zwykłego śmiertelnika, świat niedostępny, zamknięty na siedm pieczęci czy herbów, gdzie *nasze kółko* się bawi. A nawet i tam, nawet w owem *naszem kółku* zrzadka bardzo jakiś wieczorek obudzi ruchu trochę i znowu wszystko zapada w dawną odrętwiałość. Pikniki arystokratyczne, gdzie tylko osoby o wielu pałkach dopuszczane bywają, nudne mocno: panien bez liku, skakunów jak na lekarstwo; całe szeregi pierwszych przyrasta do stołków, drudzy zaś pracują jak negry. Z wielkich balów dwa mają świetną przyszłość: bal prawników i bal Mickiewiczowski. Lwów nic dotąd nie uczynił, aby zwiększyć fundusz pomnika dla Mickiewicza, dlatego wysili się publiczność, aby bal był olśniewający liczbą; bal zaś prawników skorzystał z zapowiedzianego przybycia Kraszewskiego, który wedle programu, miał zaszczycić początek balu swoją obecnością. To sprawiło, iż mnóstwo biletów rozebrano. Tymczasem Kraszewski nie przyjedzie zasypano go bowiem z Krakowa anonimami, w których tyle użyto nikczemnych pomysłów, że kto wie, czy jego choroba nie z tego powstała. Dopięto czy tak czy owak zamierzonego celu: Kraszewski do Lwowa nie przyjedzie. Wielka to klęska dla Macierzy Polskiej.

Koło literackie krząta się raźno i coraz wpływowne zaczyna zajmować stanowisko: odczytywane na posiedzeniach prace są interesujące a często i istotnie znacznej wartości; dzięki inicyatywie Koła, zawiązało się *kółko* filologów, którzy zajmują się przyswojeniem naszemu piśmiennictwu arcydzieł literatury starożytnej. Rzecz wielkiej doniosłości; wstyd to bowiem, że kiedy wszystkie prawie narody posiadają wzorowe przekłady najcelniejszych dzieł starożytności klasycznej, my zaledwie próbki widzimy. Dowiaduję się także, że prezes *Koła literackiego* krząta się, aby utworzyć *kółko* mające się zająć kwestyami odnoszącemi się do języka polskiego. Już samem ułożeniem (na żądanie Kraszewskiego) statutu dla Macierzy Polskiej przysłużyło się Koło krajowi i nie wątpimy, że ją poprze wszelkiemi siłami i we wszystkich kierunkach. Teraz wydział Koła zamierza podobno otworzyć czytelnię czy nawet rodzaj kassyna. Musimy jednak wyznać że szanowny wydział, tak zresztą energiczny i chętny, dziwnie niedołężnie sprawę tę prowadzi. O negocyacyach bowiem, o losach dla czytelni owej słyszeliśmy we wrześniu czy październiku roku zeszłego, i jakoś dotąd nic nie widać, choć ciągle słychać, że Wydział zakłada czytelnię.

Wiecie że zawiązał się tu komitet na pierwszą wieść o katastrofie warszawskiej; niedawno otrzymał od rządu upoważnienie do zbierania składek, ogłosił więc natychmiast odezwę i Galicya skromnym ale wielkim na swoją biedę datkiem, przyczyni się do ulżenia losu ofiarom wypadku. Rok ten smutnie się rozpoczął: śmierć się rozbrykała i wywija kosą ta nihilistka *de l'art pour l'art*. Zaledwie pochowaliśmy ks. Grzegorza Romankowa, arcybiskupa obrządku Burjańskiego, gdy kolejno zakończyli życie: Dr. Wojciech Wołek, okulista, członek Rady Zdrowia, człowiek młody jeszcze i szanowany dla swej szlachetnosci. Profesor uniwersytetu Dr. Szymon Syrski, także młody bo zaledwie 52 lat liczył, członek wielu uczonych towarzystw, znany w świecie naukowym ze swych prac w ichtyologii i z podróży około świata. Jedną z największych strat, jaką kraj poniósł, jest niewątpliwie ta, którą nam wyrządziła śmierć Ignacego Łukasiewicza, zmarłego w Charkówce pod Krosnem. Szlachetny ten człowiek o formach prostych i nieco rubasznych, był wzorem obywatela ziemskiego. Wróg propinacyi, liberalnych i podniosłych wyobrażeń, czynny i znakomity pracownik w Sejmie, filar a raczej twórca przemysłu naftowego, istotny przyjaciel włościan, którym nie schlebiał, ale prawdziwą, choć surową miłością lud sobie jednał, doskonały administrator i gospodarz, niezałujący ogromnych sum na podniesienie przemysłu i rolnictwa, sprowadzanie nasion założyciel mnóstwa kas zaliczkowych dla włościan twórca projektu kolei żelaznej podkarpackiej, członek Wydziału Rady powiatowej Krośnieńskiej, który niesłychaną energią, czujnością i szafowaniem własnego grosza obdarzył mnóstwo bitych dróg i robót wodnych, człowiek słowem olbrzymich zasług, obdarzony w 1878 r. medalem złotym bitym w nagrodę prac jego dla spraw górniczo-naftowych, ale człowiek, który na dziesięć medali zasłużył.—Muszę jeszcze wspomnieć zacnego obywatela Aleksandra Jaźwińskiego, oficera b. wojsk pol., i Władysława Strzembosza, równej zacności i także oficera b. wojsk. pol. Giną szlachetni, ale czy mają następców? Nakoniec zasłużony na polu wydawnictw ludowych, książeczek, dzienników, kalendarzy ks. Otton Hołyński zmarł w Meranie Cześć uczciwym pracownikom.

Mieliśmy tutaj nieudałą próbkę Louise'y Lateau. Jakaś rodzina niemiecka nie mając zarobku, ale mając córkę, postanowiła zarabiać bez pracy. I oto ukazują się nagle stygmata na rękach i nogach pobożnej panny, która ma widzenia, senność i t. p. Zaczęto się zbiegać i nieść datki — nieszczęściem sąd chciał się przekonać czy to prawda i... aresztował oszustów. Nieszczęściem po krótkiem śledztwie wypuszczono wszystkich bez kary, pomimo, że już byli pieniędzy dość wyłudzili. Ale takie to już nasze austryackie prawo!

Stowarzyszenie *Rodzina*, o której wam donosiłem, mnoży się z wielką szybkością po mniejszych miastach, tak że już teraz kilkanaście takich *Rodzin* na prowincyi powstało. W tych dniach odbył się we Lwowie zjazd delegatów rozrzuconych filii celem porozumienia się w sprawach ogólnego znaczenia. Cieszymy się z tego objawu nad wszelki wyraz: takie stowarzyszenia dające członkom emeryturę, chorym i kalekom pomoc, żonom i rodzinom wsparcie zabezpieczające je od nędzy, wykształcenie naukowo-fachowe dzieciom, takie, powiadamy stowarzyszenia i spółki, przy wzmożeniu oświaty i moralności, to najlepsze zabezpieczenie społeczeństwa od wywrotnych teoryi i awantur.

Na zakończenie krótka wiadomość o dziennikarskim ruchu. W Krakowie od nowego roku wychodzi pismo polityczne *Reforma* dla osłabienia ultra konserwatywnych dążności *Czasu*. W Gorlicach (centrum naftowego przemysłu w zachodniej Galicyi) ukazało się fachowe pismo *Górnik* który nas napełnia istotną radością. Mniej nam przyjemności robi powstałe we Lwowie humorystyczno-satyryczne pismo: *Różowe Domino* dótąd wcale liche, w porównaniu z poczciwym naszym *Szczutkiem*. A jeszcze lichszy jest *Olimp* pragnący także być satyrycznym.

Ważniejszą sprswą są *ludowe czytelnie*, których już dwie otworzono u nas staraniem lwowskiego Towarzystwa oświaty, i które przyjęte były przez roboczą ludność z prawdziwą radością.

Załączam spis nagród udzielonych wystawcom robót ręcznych i przemysłu domowego.

W dziale pierwszym (artystyczne roboty kobiece) dano:

1. Dyplom szczególnego uznania paniom: Józefie Stelcerównie, Honoracie Łukasiewiczowej z Chorkówki, Katarzynie Rybak i Joannie Deputowiczowej.

2. Dyplom uznania: paniom hr. Stadnickiej z Sądowej Wiszni, E. Hilichowej, Zofii Madejskiej, klasztorowi Franciszkanek, T. Kriegschaberowej, M. Niedzielskiej z Bochni, Gerard ze Lwowa, M. Wierzbickiej i Jadwidze hr. Dzieduszyckiej.

3. Listy pochwalne: paniom M. Walewskiej z Bolechowa i Baranowskiej ze Lwowa.

W dziale drugim (wyroby przemysłu domowego — tkackie) dano:

1. Dyplom szczególnego uznania: A. Kudrzylonce z Błażowej, J. Łomkiewiczowi z Korczyny, panu Heydanreichowi we Lwowie, St. Gonetowi z Korczyny, Stefanowi Lewickiemu z Horodenki, Maryi Sokolak z Starego Gwoździca, hr. Włodzimierzowi Dzieduszyckiemu i p. Władysławowi Przybysławskiemu z Czartowca,—za popieranie przemysłu domowego.

2. Dyplom uznania: St. Markiewicz za rozpowszechnienie wyrobów tkactwa krajowego, Zahradnikowi z Andrychowa, F. Koraj z Błażowej, J. Bóbrowi z Błażowej, M. Wiernoszowi z Korczyny Z. Weissowi z Korczyny, A. Mięsowiczowi z Korczyny, A. Mięsowiczowi tamże, A. Wajdzie tamże, J. Wiluszowi tamże, F. Długoszowi tamże, J. Pudło tamże, W. Wiernoszowi tamże, J. Gonetowi tamże, T. Fedorowiczowi z Klobanówki, Oddziałowi czarnohorskiemu tatrzańskiemu, J. Terleckiemu ze Starego Gwoździca, P. Apostolukowi z Kudaczkowic, P. Łuckiemu z Horodenki; Michajdysze Łopatniuk z Małego Gwoździca, Icie Katzer ze Starego Gwoździca, Perle Rozenkrantz tamże, O. Cyrylakowi z Myszyna, H. Dźwińko z Kosmacza K. hr. Dzieduszyckiej z Gwoździca, Wł. Riegerowi z Tok, J. Kowlackiemu z Tok, W. Sokołowskiemu tamże, S. Nasurakowi z Czertowca,

M. Mikulskiemu tamże, K. Gudzowi z Leśniowa, O. Szudrewiczowej z Tynkowiec, H. Szudrewiczowej, Z. Podolskiej ze Lwowa, M. Teodorowiczowej, F. Knauerowi i M. Obertyńskiemu z Stronibab.

W dziale trzecim (wyroby szkolne) dano:

1. „Dyplom szczególnego uznania”: Szkole wydz. żeńskiej we Lwowie, szkole im. Elżbiety, wyższej szkole żeńskiej w Kołomyi. szkole koronkarskiej w Chorkówce, szkole keronkarstwa pani Gabryelowej w Warszawie, zakładowi ciemnych we Lwowie.

2. Dyplom uznania”: Szkole św. Anny, szkole św. Antoniego, szkole wiejskiej w Pioniakach, stowarzyszeniu pracy kobiet, zakładowi Sióstr Miłosierdzia św. Kazimierza, zakładowi św. Heleny, zakładowi pani Franke i zakładowi pani Niedziałkowskiej.

Po rozdaniu dyplomów marszałek dr. Zyblikiewicz wyraził zarządowi muzeum za podjęty trud i pracę w imieniu kraju podziękowanie. Dodał przytem, że Wydział krajowy chcąc zachęcić do pracy dalszej, przeznaczył 6 nagród w złocie, które też według uznania komissyi rozdano: P. J. Stelcerównie 10 dukatów, p. K. Rybak 5 dukatów, p. J. Deputowiczowej 3 duk., Annie Kuwielence z Błażowej 10, tkaczowi Talakiewiczowi z Korczyny 5, A. Buszekowi z Muszyny 3 dukaty. Nadto ofiarowała Izba handlowa dla p. Rybak 5 dukatów.

W końcu dziękował zarządowi muzeum prezydent miasta dr. Gnoiński, poczem odbyło się losowanie 200 fantów.

KORESPONDENCYA Z PARYŻA.

(Dokończenie).

W mowie swej pan Legouvé opowiada kilka ustępów z życia jego nader charakterystycznych. Słuchał on z zupełną obojętnością gwizdania publiczności swoich utworów. Raz w czasie przedstawienia przechadzał się po korytarzu teatralnym, wraz z jednym ze swoich przyjaciół. Nagle dał się słyszeć gwizd przeraźliwy; przyjaciel nieszczęsnego autora zadrżał, słysząc ten objaw niechęci.

— Uspokój się, rzekł z uśmiechem Lemercier, w następnym akcie gwizdać będą jeszcze głośniej.

Niektórzy krytycy wątpili o szczerości tej zimnej krwi, na co Lemercier oświadczył:

— Za kilka miesięcy przedstawioną będzie napisana przeze mnie tragedya, której piąty akt z pewnością będzie wygwizdany, otóż zaręczam, że obieg mej krwi nie ulegnie najmniejszej zmianie przed i w czasie widowiska, co potwierdzi lekarz teatralny, badając stan mego pulsu w chwili odpowiedniej.

Zrobiono zakład i wygrał go Lemercier, ku wielkiemu zdziwieniu wszystkich.

Inny znowu wypadek dowiódł, że pisarz dramatyczny umiał się stawić ostro w razie potrzeby. Za pierwszego Cesarstwa, kiedy wojskowi wszędzie i zawsze zajmowali miejsce naczelne, wszedł z wielkim hałasem do teatru pewien oficer i stanął wprost przed Lemercierem, zasłoniwszy mu scenę swą osobą. Proszony grzecznie o usunięcie się, odpowiedział tylko pogardliwem wzruszeniem ramion. Widząc to Lemercier zawołał ostro:

— Rozkazuję panu usunąć się natychmiast czy mnie rozumiesz?

— Nie wiesz do kogo mówisz, odpowiedział zdumiony; przywiozłem sztandary zdobyte na nieprzyjacielu.

— Nie zapominaj o tem, odrzekł Lemercier niewzruszony, że osieł przywiózł Chrystusa do Jerozolimy.

Nastąpił pojedynek, z którego autor dramatyczny wyszedł zwycięzko.

Zasługi położone przez Nepomucena Lemercier’a na polu teatru narodowego, wynagrodzone zostały, jeżeli nie wręcz, przynajmniej w sposób uboczny. Dotychczas w części Paryża nazywanej Batignolles, znajduje się ulica, nosząca oddawna jego nazwisko. Po czwartym września 1870 roku, Paryzka Rada miejska zmieniała ze szczególnym zapałem miana ulic; nazwa jednak Lemercier uszanowaną została, jedyny to hołd oddany tyle głośnemu kiedyś pisarzowi.

Od autora nazywanego ozdobą pierwszego Cesarstwa, przechodząc do epoki współczesnej nam, mamy do zanotowaaia nowy dramat pod tytułem „Mały Jakób” przedstawiony w teatrze rozmaitości w Paryżu. Autorem tej pracy jest William Busnach współpracownik Zoli, tyle głośnego twórcy sztuk ułożonych wedle naturalizmu. W obecnym wypadku pan Busnach występuje samoistnie.

Treść sztuki jest następująca.

Niejaki Roseraie sekretarz jeneralny w Martynice, przegrał na słowo znaczną kwotę pieniężną, której uiścić nie może w czasie właściwym. Nie chcąc pozyskać miana nierzetelnego gracza, załatwia całą sprawę w sposób najnikczemniejszy. Korzystając z zajmowanego stanowiska, wierzyciela swego nazwiskiem Lawerdac, mięsza najniewinniej do sprawy przestępców politycznych, co staje się powodem jego rozstrzelania.

Syn nieszczęsnej ofiary Grzegórz Lawerdac, po długich poszukiwaniach znajduje nareszcie list udowadniający całą nikczemność niegodziwego Roseraie, ówcześnie zostającego w sądownictwie. Zbrodniarz korzysta z dawnej przyjaźni czy też miłości, łączącej w pierwszych latach młodości jego żonę z Grzegorzem Lawerdac, naznacza mu jej imieniem schadzkę o jedenastej wieczorem. Pani Roseraie przewiduje nową zbroonię i chce ostrzedz Grzegorza, ale niegodziwy mąż stawia straż aby nie wyszła z domu. Przebrana jednak za służącą, wymyka się zręcznie, a spotkawszy Piotra Girarda czeladnika ślusarskiego, daje mu znaczną kwotę pieniężną, aby ostrzeżeniem przeszkodził spełnieniu zbrodni. Na nieszczęście, Piotr Girard pomimo całego pośpiechu przybywa zapóźno; Grzegórz Lawerdac już zabity, i Roseraie znajduje na jego piersiach wiadomy list. Zabójca dostrzegłszy niespodzianego świadka, rzuca się na niego z przekleństwem, uderzeniem pięści obala na ławkę kamienną, a sam ucieka śpiesznie z miejsca popełnionej zbrodni.

Nadeszły patrol policyjny znajduje ciało tylko co zabitego człowieka i domniemanego sprawcę zemglonego z raną na czole, z której krew płynie obficie. Jako okoliczność obciążająca, posługuje znajdująca się w jego kieszeni znaczna kwota pieniężna, nieodpowiednia do położenia biednego rzemieślnika. Piotr Girad zostaje uwięziony i oskarżony o zbrodnię zabójstwa. Stawiony bezzwłocznie przed sędziego, poznaje w jego osobie rzeczywistego mordercę którego położenie staje się tem krytyczniejsze, że jego własna żona powołaną być może za świadka przeciwko niemu. Dla zrozumienia dalszego biegu wypadków, należy wspomnieć teraz o osobie, której imię posłużyło za tytuł dramatu.

Ów nieszczęsny Piotr Girard oskarżony o zabójstwo, ma syna młodego chłopca imieniem Jakób, słabowitego i nerwowego, któremu doktorzy zapowiedzieli śmierć nieomylną, jeżeli nie będzie otoczony największemi staraniami przechodzącemi możność zrozpaczonego ojca. Ta właśnie okoliczność stała się powodem układu, zawartego między Roseraie a Piotrem Girardem. Urzędnik sądowy widząc się poznanym, chcąc uniknąć najgorszych następstw, usiłuje wyzyskać miłość rodzicielską, i ofiaruje na rzecz małego Jakóbka dwakroć sto tysięcy franków, jeżeli tylko Piotr Girard zatai prawdę i poda się za sprawcę spełnionej zbrodni.

Tak znaczny kapitał był aż nadto wystarczający do ocalenia małego Jakóba i zapewnienia mu w przyszłości wygodnego i spokojnego bytu. Pokusa była zanadto wielka dla poczciwego ojca, aby się miał wahać choć na chwilę: układ zawarty, oskarżony przyznaje się do zbrodni, której nigdy nie popełnił, i najniewinniejszy człowiek skazany będzie na karę śmierci.

Niektórzy krytycy zarzucali autorowi przesadę, uważając za niepodobne, aby ojciec przez miłość dla dziecka chciał oddać głowę swą pod gilotynę, zwłaszcza, że w spuściźnie zostawiłby mu nazwisko shańbione. Krytycy dający podobną analizę serca ludzkiego, prawdopodobnie nie byli nigdy ojcami, a przynajmniej nie stali nigdy przy łożu śmiertelnie chorego ich dziecka. Inne zarzuty, że wyroki doktorskie nie są nieomylne, że Girard nie był obowiązany dotrzymać danego słowa zbrodniarzowi, ale wziąwszy pieniądze powinien go był wskazać jako rzeczywistego sprawcę zabójstwa, należą do krainy właściwej pozytywizmowi warszawskiemu, sprowadzającemu uczciwość w szranki przepisów kodeksu kryminalnego. Kwestye tego rodzaju inaczej pojmowała publiczność paryzka. Dowód najwyższego zaparcia się ojca dla miłości dziecka, sumienne dotrzymanie warunków umowy, przyjęte były grzmotem oklasków; postać Piotra Girarda wyrosła na olbrzyma i ostateczne rozwiązanie dramatu wzbudzało niepokój ogólny.

Szczególniej jedna scena uczyniła ogromne wrażenie. Nadchodzi straszliwy dzień spełnienia wyroku śmierci. Na placu przygotowane wszystko do egzekucyi, wzniesiona gilotyna oczekuje na ofiarę, tymczasem przysposabiano wszelkie środki ratunku dla niewinnego człowieka. Mały Jakubek widzi we śnie ojca prowadzonego pod gilotynę: pod wpływem rozdrażnienia nerwowego śpiąc wstaje z łóżka i opisuje szarpiące go uczucia z taką mocą, że wszystkie serca uderzyły silniej w piersiach i wszystkie oczy pokryły się łzami.

Ostatecznie cała intryga rozwiązuje się najpomyślniej, niewinność Piotra Girarda zostaje udowodnioną, a rzeczywisty sprawca surowo ukarany.

Kończąc niniejszą kronikę, wspomnimy o szczególnem zdarzeniu, które wprowadziło w podziw mieszkańców Paryża. Wypadkowym sposobem dowiedziano się, że wnuk Dantona, słynnego rewolucyonisty francuzkiego, żyje, zajmując w świecie dosyć dziwne stanowisko. Rzecz się tak miała. Zawiązał się komitet celem wzniesienia pomnika Dantonowi w Wersalu. Skoro wiadomość o tem ogłoszoną została przez dzienniki, żyjący wnuk Dantona przesłał list dziękczynny. Otóż ten wnuk

znajduje się obecnie w Bośnii jako podoficer w armii austryackiej.

Widocznie wyobrażenia polityczne wnuka są różne zupełnie od wyobrażeń dziada. *K. G.*

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

*** Występy pani Modrzejewskiej cieszą się niezmiernem powodzeniem. Teatr zawsze jest pełny, a na niedzielne popołudniowe przedstawienia, do kasy teatralnej niemal szturmem trzeba się dobijać. Kto nie czuje się dość silnym do walczenia z cisnącym się tłumem, do wytrzymania jego natarcia i odpowiedniego oddziaływania szerokiemi barami i potęgą muskularnej pięści, ten lepiej niech siedzi w domu i ciekawości swej da za wygrânę. Jedna ze znajomych nam pań, za otwarciem okienka kasy, porwana prądem biegnących jak stado owiec, wziętą została w takie opały, że choć już pragnęła wydobyć się i wyrwać na swobodę, już nie mogła tego dokonać i rada nierada ciśnięta, popychana, dostała się wreszcie do kasyera. Tu przyciśnięta do okienka, już nie była w stanie wysunąć ręki z portmonetką tak jak należało, tylko pokazała jej czubek prosząc aby kasyer sam ją odebrał i wypadającą należytość odliczył. Gdy przyszło do odwrotu, ani rusz, ani w prawo ani w lewo, prośby jej gwar głuszył, a gdy nareszcie wyciśnięto ją z pośród szczelnie napchanego tłumu, była zgnieciona, zduszona, sprasowana, i tak cała obolała, że na drugi dzień czuła się jakby rozerwaną na cząstki, które się lada chwila rozlecą.

Słuchając tego opowiadania, straszny wypadek w kościele Ś-go Krzyża zupełnie został wyjaśniony; jeżeli bowiem pragnienie zobaczenia sławnej artystki, sprowadza podobny tumult i nieporządek, to przestrach, nic dziwnego że tworząc bezmyślny popłoch, staje się powodem duszenia i tratowania na śmierć ludzi. Wina w tem poczęści dyrekcyi teatralnej, że nie urządzi wchodu i wychodu kasy, za pomocą odpowiednich baryerek, i nie postawi przy nich stróża i to herkulesowej siły, aby pilnował porządku. Ale wina także i publiczności, która niepomna swej godności, owce naśladuje. A należy ona do klasy niby inteligentnej, zamożniejszej, zamiłowanej w sztuce, uważającej się za stokroć razy wyżej stojącą od służby domowej, podwórzowej i przy warsztatach rzemieślniczych pracującej.

Dla przykładu jak się ma zachować w podobnie licznych zgromadzeniach, niechby się przypatrzyła, jak ta biedota poubierana rozmaicie, w trepkach i na bosaka, gęsim sznurem posuwa się z konewkami i kubłami do wodociągu, i bez sprzeczek, bez pchania się, napełniwszy wodą naczynia, powraca do domu. Porządku tego nikt nie pilnuje, sami go sobie postanowili i ściśle przestrzegają. Kto tu więc jest bydłem a kto ludźmi?

Ostre to wyrażenie ale zasłużone, rzuciliśmy je ze wstydem i smutkiem zarazem. Nic też dziwnego że cudzoziemcy patrząc na takie sceny zwą nas jeszcze często barbarzyńcami.

Co do samych występów p. Modrzejewskiej, nad tem nie będziemy się zastanawiać. Opinia o jej wartości artystycznej jest już ustalona nietylko u nas ale i za granicą. Sara realistów ujmowała realnością aż do obrzydzenia posuniętą, pani Modrzejewska urokiem poetycznym zachwyca wszystkich w których sercach choć odrobinkę poezyi pozostało. Sary szczupła postać zdumiewała jak można być tak chudą: wdzięk p. Modrzejewskiej zachwyca każdego. Grymasy Sary dobrze się dały uczuć dyrekcyi teatru, p. Modrzejewska najmilsze po sobie zostawi wspomnienie, — a w publiczności pragnienie aby jak najczęściej Warszawę nawiedzała.

O Sarze tego nie powiemy, niech tam więc sobie laury i pieniądze zbiera gdzie chce, byle nie u nas.

*** Otrzymujemy pocieszającą wiadomość że J. I. Kraszewski, po przebyciu silnej bronchitis ma się znacznie lepiej; zapalenie płuc już mu nie zagraża. Z polecenia lekarzy ma się na wiosnę udać do Ems, a po powrocie stamtąd pojechać do Lwowa. Mimo choroby, mimo nieustannego kaszlu, nader męczącego, który tamuje mu oddech w piersiach, niezmordowany Tytan pracy wciąż pisze, odpowiada na setki listów, załatwia różne ważne sprawy literackie, obmyśla nowe utwory — zdumiewając pracą, energią i wytwałością. Nie mogąc obecnie udać się do Lwowa, sprawę „Macierzy" powierzył marszałkowi Zyblikiewiczowi.

*** Pisma codzienne donoszą iż przybyć ma do Warszawy ajent londyńskiego towarzystwa akcyjnego, zajmującego się urządzaniem oświetlenia elektrycznego w różnych miastach europejskich, w celu rozciągnięcia na nasze miasto działalności tegoż Towarzystwa i zaprowadzenia światła elektrycznego za bardzo przystępną cenę w domach prywatnych, teatrach, restauracych, fabrykach i wszelkich zakładach. Ajent ten ma zaproponować miastu oświetlenie sposobem próby Placu Teatralnego, a w razie gdyby magistrat uznał oświetlenie elektryczne za korzystniejsze niż gazowe, sposobem tym oświetlony byłby ogród Saski, Plac Saski i Zamkowy, Krakowskie Przedmieście, Zjazd, most na Wiśle i wogóle wszystkie najbardziej ożywione ulice i place, jakoteż Aleje Ujazdowskie. Byłaby to rzecz bardzo pożądana, ale czy tylko nie stanąłby jej na zawadzie nowo zawarty kontrakt z towarzysswem Dessauskiem?

*** W sprawozdaniu przesłanem Akademii nauk w Londynie, pewien uczony podróżnik donosi: że w Meksyku istnieje rodzaj mrówek, które uprawiają ziemię, następnie sieją, zbierają i składają zapasy pewnej trawy pastewnej. Wybrawszy przestrzeń pod uprawę, mrówki te oczyszczają najpierw ziemię i zielska, a następnie zasiewają ziarno swojej ulubionej trawy, gdy zaś urośnie, podcinają źdźbła i znoszą je do nor na ten cel przygotowanych. Korespondent akademii zapewnia, że niejednokrotnie miał sposobność obserwować, jak te rolnicze mrówki w inne miejsce przenosiły swą uprawę, jeśli pasące się w pobliżu bydło niszczyło ich zasiewy.

*** W Anglii już od lat dwóch zajmują się projektem podanym przez komodora Chejne, aby urządzić wyprawę do bieguna północnego za pomocą balonów. Projekt ten uważany z początku za dziwaczny pomysł angielskiej ekscentryczności, od pewnego czasu jest przedmiotem poważnych badań i staje się coraz bliższym urzeczywistnienia. Fundusze na ten cel potrzebne są już prawie w zupełności zebrane, a komodor Chejne, wraz z porucznikiem marynarki Stanów Zjednoczonych, nazwiskiem Szwatki, który niedawno powrócił z wyprawy polarnej, wyprawionej przez rząd amerykański, dla odszukania śladów ekspedycyi Franklina, zajmuje się opracowaniem planów zamierzonego przedsięwzięcia, któremu, pod względem śmiałości, dotąd nie było równego.

Według programu Chejnego, wyprawa uda się najpierw do zatoki św. Patrycyusza, tylko o 495 mil odległej od astronomicznego bieguna ziemi, i tam założone zostaną trzy stacye obserwacyjne, zaopatrzone w rozmaite przyrządy a szczególniej w maszyny do wytwarzania gazu, i połączone z sobą liniami telegraficznemi. Po zbadaniu na tych stacyach kierunku panujących w owej okolicy ziemi prądów powietrznych i w ogólności stosunków meteorologicznych, w czerwcu b. r. wyprawione zostaną przy odpowiedniem powietrzu, trzy balony ku biegunowi północnemu. W łódce każdego balonu znajdować się będzie trzech podróżnych. Jakkolwiek balon przebyć może w ciągu doby odległość 120 mil jeograficznych, jednakże każdy balon zaopatrzony będzie w żywność i wszelkie potrzeby dla podróżnych na dni 51, a obok tego, nader delikatnym drutem z łatwością odwijającym się z walca, połączony będzie z wyż wspomnianemi stacyami, ażeby podróżnicy mogli nieustannie z balonów zawiadamiać o swoim losie, spostrzeżeniach i przygodach, pozostałych na stacyach uczonych.

*** Szczególniejsze doniesienie z Grecyi zamieściły gazety zagraniczne. W odległości pięciu mil od Cheronei, w miejscowości zwanej dziś Kapraina, miano odkryć szczątki zwłok owych 300 młodych Tebańczyków, którzy składając tak zwany „święty zastęp" polegli pod Cheroneą w pamiętnej bitwie z wojskami Filipa Macedońskiego, w dniu 4 sierpnia 538 r. przed Narodzeniem Chrystusa. Od kilku już miesięcy dokonywano w tej okolicy poszukiwania zabytków odległej starożytności, i natrafiono w ziemi na mur 25 metrów długi, 10 szeroki, a 2 wysoki. W równoległoboku przez mur ten utworzonym, znaleziono w głębokości 4 metrów śmiertelne szczątki 185 Tebańczyków, w grupach po 40 ciał obok siebie. Dotychczas odkopano 7 szeregów tego wiekopomnego zastępu. Na szkieletach znać jeszcze ślady strasznych ran, które spowodowały śmierć bohaterów; jeden np. widocznie ma obie nogi na wylot przebite dzidą; drugi zgruchotaną szczękę, trzeci roztrzaskaną czaszkę i t. d. Broni żadnej przy zwłokach nie znaleziono; pewnie nieprzyjaciel zabrał ją pokonanym; wykopano tylko dużo kościanych, przedziurawionych w środku guzików, oraz czarek terrakotowych z podwójnemi uszkami. Odkopywanie mogiły trwa dalej, w celu odszukania ciał brakujących jeszcze bohaterów słynnej tebańskiej falangi. Poszukiwaniami kieruje uczony archeolog grecki, p. Siamalakir, i zamierza ogłosić obszerne sprawozdanie o tem nadzwyczajnem odkryciu, wraz z rysunkami przedstawiającemi położenie w jakiem znaleziono szkielety wojowników tebańskich.

Prawdaż to czy kaczka dziennikarska? Pisaliśmy o sprawozdaniu nadesłanem Instytutowi Wiktoryi w Londynie o znalezieniu pamiątek po Noem; obecnie podają wiadomość o odkopaniu zwłok bohaterów poległych pod Cheroneą r. 538 przed erą chrześciańską — brak już chyba żeby ktoś odnalazł ogryzek lub choćby ogonek jabłka, które Ewa podała Adamowi.

*** Na liniach kolei *Pennsylvania Railway* funkcyonuje przyrząd służący do wskazywania wszelkich niedokładności drogi, niedających się dojrzeć gołem okiem. Przyrząd zaznacza je dokładnie, wskazuje gdzie mają miejsce, a wszystko to podczas biegu maszyny pędzącej z szybkością 15

do 25 mil na godzinę. Z zewnątrz przyrząd podobny jest do wagonu towarowego, wewnątrz zaś mieszczą się przyrządy do autonomicznego notowania, zegarki elektryczne, i t. p. Najmniejsza wadliwość niwelacyi drogi, uwydatniona zostaje z drobiazgową dokładnością; mechanizm wykazuje także gdy droga jest za wązka lub gdy szyny się rozeszły. Dowcipnie urządzony rejestr wskazujący czas i odległość, dozwala dostrzegaczowi oznaczyć miejsce gdzie zachodzą wykazane niedokładności.

Przyrząd może oddawać drogom żelaznym nader ważne usługi.

*** **Prawa wyborcze kobiet.** Niedawno w Bradfordzie odbył się wielki meeting na rzecz rozszerzenia prawa wyboru do parlamentu na samoistne kobiety. Obecnych było około 3,000 osób. Przewodniczyła pani Duncan Mac Laren (siostra John Bright'a), a głos zabierały wyłącznie kobiety, między innemi córka słynnego Ryszarda Cobdena. Po dłuższej rozprawie uchwalono przesłać pierwszemu ministrowi memoryał z żądaniem, ażeby przy sposobności pierwszej reformy prawa wyborczego, jaka wyjdzie z inicyatywy rządu, ten ostatni domagał się u parlamentu rozciągnięcia praw wyborczych na wszystkie samoistne, opłacające podatek kobiety w Anglii.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Panu R. L. w Kijowie. Wierszyk p. t. Karnawał, niesłusznie obwinia społeczność naszą o brak litości dla niedoli. Możemy być bardzo zli, ale nigdy sercem nie grzeszymy. Numer zatracony wysłano powtórnie.

Panu Fr. W. w Kudralewie. Pozostałe od prenumeraty kop. 50, dołączono do składek na pomnik Mickiewicza.

Pa. W. K. w Kaniowie. Pozostałe kop. 50 oddano biednej bardzo rodzinie, godnej wsparcia publicznego.

Pa. Michalinie Sł. w Wołyniance. Błędy w adresach nie pochodzą z samowolnego przekręcania nazwisk, ale z niewyraźnego ich wypisywania w listach. Co do składu Redakcyi, możemy zapewnić, że nie ma w niej ani jednego cudzoziemca. Numer powtórnie wysłano.

Korespondentce z Michałek. Rubli 2 kop. 50, doręczono biednemu uczniowi. Utrzymanie jego roczne wyniesie około dwustu rubli przynajmniej, ale wszelka pomoc będzie dla niego prawdziwem dobrodziejstwem, na które bardzo zasługuje. Pośrednictwa i dokładnego zbadania stanu rzeczy, chętnie się podejmiemy.

Panu Sewerynowi Ł. w Ładyżynie. Kop. 50 na pomnik Mickiewicza dołączono do składek ogólnych.

Panu Kazimierzowi Ł. w Radziwiłłowie. Wierszyk nie może być w „Tygodniku" umieszczony.

Panu A. K. w Warszawie. Nadesłany wierszyk na próbkę świadczy o łatwości zachowania warunków formy, ale nie o sile talentu poetycznego. Treść w nim niezmiernie zużyta niesprawiedliwie społeczność oskarża o brak miłosierdzia, dająca zawsze dowody najpoczciwszego serca. Dramat i to wierszem, to praca niemałego znaczenia: nie znając go o wartości sądzić nie możemy.

Autorce wierszyka p. t. „Życie". Wierszyk pod względem formy dość udatny, ale wypływa z niego że tylko w stanie kapłańskim szczęście i spokój znaleźć można. Na to zgoda trudna, nie zajęcie dary te daje ale sam człowiek spełniając wiernie włożone na niego obowiązki i ufający Opatrzności we wszystkich chwilach swego życia. Na poezyą prawdziwą teraz wielki nieurodzaj: każdy zdolniejszy może wierszyk zgrabny napisać, ale zachęcać go do dalszej pracy w tym kierunku nie należy. Ludzkość weszła na prozę realizmu, uprawianie więc prozy będzie właściwsze i w niej niezaprzeczone zdolności Autorki lepiej zużytkowane zostaną. Gdy jednak lutnia poetyczna brzęknie pragnieniem niezwalczonem, niech przemówi i wierszykiem czasem, a Tygodnik gościnności mu nie odmówi.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami i arkusz z krojami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ Варшава 4 Февраля 1882 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 7, r. 1882.

TO BYŁO OBŁĄKANIE.

PRZEZ

HENRYKA CAUVAIN.

(Dalszy ciąg.)

— Miałbym się wyrzec udowodnienia mej niewinności! zawołał z uniesieniem Torquenié; nie, o tem nie myślę, a nawet przez wzgląd na córkę, nie mogę uczynić tego... Ale pragnę powierzyć tę sprawę innemu obrońcy; pan nie przyczynił się niczem do tego co mnie spotkało, byłoby więc niesprawiedliwie gdybyś cierpiał z mego powodu...

— Wszakże cierpiałeś z powodu mego ojca, odpowiedział poważnie Armand, który wyrzucał już sobie tę chwilkę przelotnej radości, jako dowód słabości charakteru. Bóg jest sprawiedliwym, mój przyjacielu, i powinniśmy przyjmować uległe los jaki nam przeznacza. Co do mnie, wytrwam do końca; przyrzekłem ci że udowodnię twoją niewinność i dotrzymam przyrzeczenia. Zresztą, nawet dla dobra drogich mi osób, lepiej będzie, jeźli sam zajmę się tą sprawą.

— Skoro już teraz wiesz wszystko, rzekł kończąc, usiądź i pomówmy chwilkę; może będziesz mógł udzielić mi ważnych i pewnych wiadomości. Powiedz mi przedewszystkiem czy nie domyslałeś się tego, że pomiędzy panem de Mortrée i hrabiną istnieją jakieś ściślejsze stosunki?

— Właśnie rozmyślam nad tem już od godziny, to jest odkąd pan Rousseau opowiedział mi wszystko, ale upłynęło już dwadzieścia lat od tego czasu, i niektóre szczegóły wyszły mi z pamięci. Przypominam sobie jednak, że gdy przyniesiono do mnie na noszach pana de Mortrée, który złamał rękę spadłszy z konia i stracił zupełnie przytomność, pani de Trémeillan była właśnie u nas. Odwiedzała często moją biedną Maryannę, którą bardzo lubiła.

— Czy sądzisz że hrabina znała już przed tem pana de Mortrée?

— Nie, o ile mi się zdaje. Przypominam sobie że gdy posadziliśmy wice-hrabiego Marcelina przy kominku, zapytała Maryanny o jego nazwisko.

— Jesteś więc przekonanym że zobaczyli się u ciebie po raz pierwszy?

— Tak, panie. Na dzień przed oddaleniem się od nas pana de Mortrée, spotkałem także panią de Trémeillan przed naszym domkiem; rozmawiała z moją żoną, ale jak tylko mnie spostrzegła, wsiadła na konia i odjechała.

Teraz dopiero zrozumiałem wszystko, mówił dalej Jan Torquenié po chwili milczenia; moja biedna Maryanna była tak nierozważną że ułatwiała porozumiewanie się hrabiny z panem de Mortrée, i u nas to widywali się najczęściej. Domek jest oddalony od innych pomieszkań, a mnie oddalały z niego obowiązki mej służby. Zrozumiałem także obecnie, dla czego Maryanna śmiała się gdy jej wyrzucałem że zbyt często przyjmuje u siebie pana de Mortrée, i domyślam się z jakiego powodu zachorowała tak ciężko zaraz po jego śmierci. Musiała być zapewnie blizko nich gdy hrabia nadszedł, i z przestrachu dostała tak silnej gorączki. Któżby mógł domyślić się tego, dodał Torquenié; łamałem sobie nie raz głowę, chcąc odkryć kto mógł zamordować pana de Mortrée, ale nie przypuszczałem nigdy nic podobnego. Moja biedna Maryanna ukrywała to przede mną... Bóg ją ukarał... A! gdyby była mogła powiedzieć przed śmiercią choć jedno słówko! ale nie wiedziała że na mnie cięży jakieś podejrzenie, gdy odbywano rewizyę w domu, gorączka pozbawiła ją przytomności, i uniosła swą tajemnicę do grobu...

— Czy nie przypuszczasz że Wilczyca odgrywała w tem wszystkiem ważną rolę?

— Jestem tego pewny, panie. Wciskała się zawsze do nas, i teraz gdy się nad tem zastanawiam lepiej, nabrałem przekonania że to ona wykradła z szafy tę strzelbę której nie używałem wcale już od dwóch lat, i którą znaleziono następnie u mnie. To ona, tak, to ona, gotówbym teraz przysiądz na to, otruła moją biedną żonę!

Armand chodził czas jakiś po pokoju milczący i zamyślony; potem zatrzymał się przed Janem Torquenié.

— Wszak mówiłeś mi że Joanna jest bardzo podobna do matki?

— Tak, panie, jakby jej własny obraz. To podobieństwo uderzyło mnie, gdy ją spotkałem po raz pierwszy na przedmieściu, i poznałem zaraz że to moja córka.

— Baptysta wskaże ci mieszkanie, w którem będziesz mieszkał razem z córką, rzekł Armand po chwili namysłu; tylko zalecam ci usilnie abyście się nie pokazywali nigdzie w okolicy, przed ukończeniem sprawy.

XXII.

Wieczorem Armand d'Arçay przeszedł park Mesnil i dostał się do parku d'Albrays, przez tęż samą szczerbę w murze o której mówiła z nim Małgorzata przy ich pierwszem spotkaniu. Znał dobrze to przejście, ponieważ korzystał z niego często gdy chciał zobaczyć prędzej Małgorzatę, i wybierał tę drogę jako znacznie krótszą.

Ciemno było, miał więc nadzieję że go nikt nie spostrzeże, a łagodne powietrze dozwoli rozmawiać dłużej z narzeczoną.

Wszedł na trawnik tak wielki że stojąc o tej porze przy jego końcu, można było tylko niewyraźnie widzieć pałac d'Albrays. Wielki cedr, pod którym miał czekać na Małgorzatę, rysował się zaledwie nieznacznie na ciemnem tle nieba.

Dążył szybko w tę stronę, a gdy się już zbliżał do drzewa, zobaczył jakąś wysoką ciemną postać wysuwającą się naprzeciwko niego.

Zdziwiony tem Armand, zatrzymał się nagle. Ciemna postać stanęła także przed nim, nieruchoma jak posąg.

— Nie spodziewałeś się pan zastać mnie tu, wszak prawda? odezwał się nakoniec głos surowy i ostry, w którym Armand poznał natychmiast głos hrabiego.

— Pan de Trémeillan! zawołał Armand, i serce jego zaczęło bić silniej.

— Tak, to ja; nie przypuszczałeś pan że to mnie znajdziesz w tem miejscu. Zapowiadam panu, mówił dalej głosem syczącym i przerywanym z gniewu, że od dziś nie ma już nic wspólnego między nim i panną de Trémeillan, i nie zobaczysz jej już nigdy! Jeźlibyś usiłował widzieć się z nią, jeźli wejdziesz choć raz jeszcze do tego parku lub pałacu, strzelę do ciebie jak do złodzieja zamierzającego targnąć się na moją własność.

— Wiem że pan hrabia nie wahałby się popełnić morderstwa, odpowiedział Armand, który odzyskał już zimną krew, ale ja także uprzedzam pana że nie lękam się jego pogróżek. Panna de Trémeillan jest moją narzeczoną i zostanie moją żoną, a wszelkie przeszkody jakie pan będzie stawiać między nami, powiększą tylko nasze wzajemne przywiązanie.

— Więc pan liczy za nic prawa jakie mam nad córką? zawołał hrabia zbliżając się groźnie do Armanda.

— Prawo naznacza pewne granice nawet władzy rodzicielskiej, odpowiedział Armand spokojnie.

— Prawo! prawo! zawołał znów pan de Trémeillan, którego samo wspomnienie o tem doprowadzało do wściekłości. Nie znam i nie znałem nigdy innego prawa nad moją wolę, czy pan słyszy? Należę do tych którzy rozkazują i nie umieją być posłusznymi nikomu prócz króla!... Za kogóż to pan mnie bierze? Czy pan sądzi że jestem ślepy lub tak niedołężny że nie widzę co się tu dzieje już od lat kilku? Jeźli zamykałem oczy i pozwoliłem panu zbliżać się do panny de Trémeillan, jeźli zrobiłem panu nadzieję że mogłaby zostać twą żoną, pomimo że podobny związek jest prawie mezaliansem, to dla tego jedynie że uważałem cię za człowieka honorowego, który nie pozwoli na to aby mnie niepokojono z powodu przestarzałych już historyi. Tymczasem pan, zamiast mnie bronić, jak się tego spodziewałem i jak to było twoim obowiązkiem, stałeś się sam moim oskarżycielem... I przypuszczasz że gdy ty pokrywasz niesławą moje nazwisko, ja otworzę ci jak przedtem drzwi mego domu, i pozwolę ci mówić z Małgorzatą lub też pisać do niej!... Wszystko to już skończone, mój panie, odtąd będziemy zupełnie dla siebie obcy... będziemy wrogami. Zamyślasz zaślubić Małgorzatę wbrew mej woli, przysięgam że ci się to nie uda, choćbym miał ją posłać gdzieś na koniec świata, choćbym miał...

Nie dokończył; gniew doprowadzał go do szaleństwa.

— W każdym razie wiesz już teraz co cię czeka, odezwał się po chwili hrabia; musisz się wyrzec Małgorzaty... albo też wznowienia tej sprawy.

— Nie wyrzeknę się ani jednej ani drugiej, odpowiedział Armand, który dawno już zrozumiał do czego hrabia zamierza. Panna de Trémeillan zostanie moją żoną, a Jan Torquenié uzyska rehabilitacyę. Pomimo wszelkich przeszkód jakie pan będzie stawiać między nami, znajdę sposobność widzenia się z Małgorzatą, choćbyś pan przejmował wszystkie moje listy, jak ten, który dziś pisałem, będzie wiedzieć że ją kocham i nigdy kochać nie przestanę, choćbyś pan zawiózł ją nakoniec świata, potrafię ją znaleźć z pewnością!...

Po tych słowach Armand d'Arçay odwrócił się nagle i odszedł. Było tak ciemno że hrabia nie dostrzegł tego w pierwszej chwili, inaczej byłby może starał się zatrzymać Armanda i wymódz od niego gwałtem to do czego nie zdołał go zniewolić groźbą.

W każdym razie, cienie nocy zasłaniające Armanda, nie dozwoliły wykonać podobnego zamiaru,

i z piersi hrabiego wydobył się tylko stłumiony okrzyk wściekłości.

Armand wracał do domu smutny i znękany. Energia, jaką okazał w ciągu tej gwałtownej sceny, opuszczała go stopniowo, a bolesna rzeczywistość stawała się dla niego co raz wyraźniejszą. Czuł że może na długo będzie rozłączony z Małgorzatą, i pojmował jak ona cierpieć będzie z tego powodu, jak straszną będzie dla niej niewola na którą skazywał ją hrabia. Wiedział że ten człowiek, który przez całe życie nie okazał jej ani iskierki tego przywiązania, które budzi się choć chwilowo w sercach najzimniejszych i najsurowszych ojców, będzie i teraz dla niej nieubłaganym i nielitościwym.

XXIII.

Wojna została wypowiedziana i rozpoczęła się walka; trzeba było teraz przeprowadzić jak najśpieszniej tę sprawę, tak ważną dla tych którzy odgrywali w niej jakąkolwiek rolę. Armand rozpoczął zaraz śledztwo co do faktów, na które poszukiwania pana Rousseau rzuciły już tak jasne światło.

Przypomniał sobie słowa wyrzeczone kiedyś przez proboszcza z Bonnieres, gdy rozmawiał z nim w pałacu d'Albrays. Nie zwróciły wtenczas tak dalece jego uwagi, ponieważ nie przypuszczał jeszcze aby mogły odnosić się do tej właśnie miejscowości, w której się znajdowali; teraz stanęły mu one żywo w myśli. Proboszcz powiedział wtenczas, że w najspokojniejszej i najlepszej pozornie okolicy, ukrywają się tak straszne zbrodnie, że na samą myśl o nich włosy powstają.

Zaraz nazajutrz rano udał się do Bonnieres i zapukał do drzwi probostwa.

— Ksiądz proboszcz jest w ogrodzie, rzekła do niego stara gospodyni, która mu drzwi otworzyła.

Jednocześnie wskazała drugie drzwi w głębi korytarza, wychodzące na ogród pełen kwiatów i otoczony pięknym szpalerem.

Armand wszedł do ogrodu, obejrzał się kilka razy dokoła, ale nie spostrzegł nigdzie księdza Dubois. Zobaczył tylko przy szpalerze jakiegoś człowieka w niebieskiej bluzie, klęczącego na ziemi i zajętego jakąś robotą.

Przyjacielu! zawołał Armand, czy nie mógłbyś mi powiedzieć gdzie jest ksiądz proboszcz.

Człowiek ten powstał z ziemi, i odwrócił się do pana d'Arçay.

— Ksiądz proboszcz! zawołał zdziwiony Armand.

— A! to pan, panie d'Arçay, rzekł proboszcz, unosząc trochę słomiany kapelusz, ocieniający jego twarz spokojną i łagodną.

— Przepraszam księdza proboszcza, nie poznałem go wcale, rzekł trochę zmieszany Armand.

— Nie ma w tem nic dziwnego, panie Armandzie, odpowiedział wesoło proboszcz; wszakże widziałeś tylko moje plecy.

Otrząsnął ręce z piasku i uścisnął szczerze dłoń swego gościa.

— Słońce zaczyna już przypiekać, odezwał się znów po chwili, będzie nam dogodniej rozmawiać w altance.

Zaprowadził Armanda do ławeczki ocienionej wonnemi krzewami, usiadł koło niego, zdjął okulary, które schował starannie do puzderka, otarł chustką pot pokrywający mu czoło, a nakoniec odezwał się kładąc rękę na kolanach gościa.

— Bardzo to grzecznie z twej strony, panie Armandzie, że mnie odwiedziłeś. Trudno byłoby domyśleć się że jestem księdzem, wszak prawda? mówił dalej wskazując swą bluzę; ale cóż chcesz? moje kwiatki nie wezmą mi tego za złe że przychodzę do nich w takiem ubraniu, a gdyby mi przyszło sadzić je lub kopać ziemię w sutannie, musiałbym wyrzec się zupełnie tej przyjemności.. Jak sobie odpoczniesz trochę, panie Armandzie, pokażę ci moje truskawki i brzoskwinie; zobaczysz coś niezwykłego; mam zwłaszcza kawałek ziemi wystawiony ze wszystkich stron na słońce, gdzie dochodzą do niezwykłej wielkości, ale też je pielęgnuję bardzo starannie. Muszę także prowadzić ciągłą wojnę z kretami; właśnie przed chwilą zastawiałem na nie łapkę.

Obtarł znów czoło dużą kolorową chustką, i mówił dalej:

— Ale jakże się ma szanowna matka twoja, panie Armandzie, panna Małgorzata, hrabia de Trémeillan? Już bardzo dawno nie byłem w pałacu d'Albrays. Muszą tam już czynić przygotowania do zbliżającej się uroczystości... Wszakże ślub ma być w końcu tego miesiąca?

— Tak... może jednak będzie jeszcze odłożony, odpowiedział Armand.

— A to dla czego?

— Wszakże ksiądz proboszcz mieszka już dawno w tych stronach? odezwał się Armand nie odpowiadając na zadane mu pytanie.

— Blizko trzydzieści lat, kochany panie Armandzie. Patrz na tę wielką gruszę, zasadziłem ją w dniu mego przybycia na probostwo; ona rozrosła się i wzmogła w siły, a ze mną stało się przeciwnie.

— Czy ksiądz proboszcz dawno już bywa w pałacu d'Albrays?

— Znam hrabiego już od dwudziestu pięciu lat, i zawsze przyjmował mnie u siebie bardzo uprzejmie.

— Więc ksiądz proboszcz znał także hrabinę?

Zdawało się Armandowi że proboszcz drgnął lekko, pomimo to odpowiedział spokojnie:

— Tak, znałem ją dobrze.

— Zdaje się że to musiała być zacna i święta kobieta.

— Była bardzo łagodna i miłosierna.

— Mówią że hrabia był bardzo dla niej przykrym.

— On był trochę gwałtowny, ostry w pożyciu, ona zaś bardzo tkliwa, delikatna; zdawało mi się jednak że żyli z sobą bardzo zgodnie.

Proboszcz nie mógł odgadnąć w jakim celu Armand zadawał mu te pytania, przeczuwał jednak że powinien być ostrożnym. Pomiarkował to Armand i postanowił mówić otwarciej.

— Skoro ksiądz proboszcz zna już tak dawno hrabiego i wie co się działo w Albrays, musiał także słyszeć o Janie Torquenié, który, dwadzieścia lat temu, był leśniczym hrabiego de Trémeillan.

— Dlaczego zadajesz mi to pytanie, panie Armandzie? zapytał trochę niespokojnie proboszcz.

— Czy ksiądz proboszcz powątpiewał kiedy o niewinności tego człowieka?

Ksiądz Dubois zdawał się co raz niespokojniejszym; wyjął okulary z puzderka i zaczął je obcierać chustką; ręce mu drżały.

— Doprawdy, kochany panie d'Arçay, rzekł nakoniec, nie rozumiem do czego zmierzają twoje pytania.

— Zaraz to wytłomaczę księdzu proboszczowi, odpowiedział Armand... Jan Torquenié powrócił z galer. Przyszedł do mnie, przysiągł mi że został niesłusznie skazanym, i błagał abym został jego obrońcą. Odmówiłem w pierwszej chwili; wiedząc że ojciec mój prowadził śledztwo w tej sprawie i że przestępca przyznał się do winy. Z tego powodu karogodność tego człowieka zdawała mi się niewątpliwą; później jednak ważne odkrycia i niezbite dowody, przekonały mnie że się omyliłem, że ten biedak stał się rzeczywiście ofiarą opłakanej pomyłki, i, aż straszno pomyśleć, zrozumiałem że nieszczęśliwy ojciec mój miał już podczas tego śledztwa początki obłąkania zmysłów, badał biedaka z chorobliwą zaciętością i gwałtem prawie zmusił iż przyznał się do niepopełnionej zbrodni. Nie dość na tem, najzupełniej przekonany jestem iż rzeczywistym mordercą hrabiego de Mortrée, jest pan de Trémeillan. Ponieważ, choć bezwiednie, ale zawsze ojciec mój jest w znacznej części powodem cierpień nieszczęśliwego Torquenié, nie opuszczę go, zajmę się jak najgorliwiej jego sprawą, nie zaniedbam nic co mogłoby posłużyć do jego rehabilitacyi, i, jeśli będzie to koniecznem, sam bronić go będę przed sądem. Jest to mój obowiązek, spełnię go choćby mi serce pęknąć miało.

I opowiedział sędziwemu proboszczowi rozmowę swoją z hrabią de Trémeillan, zwierzył mu się jak straszna boleść i niepokój miota jego sercem, na samą myśl iż hrabia de Trémeillan mścić się będzie na biednej Małgorzacie, gniew swój i złość wywierając na nią. Błagał aby on, znający niezawodnie wszystkie szczegóły tej sprawy, udzielił mu wskazówek dozwalających odróżnić poszczególną winę każdego z biorących udział w tej strasznej zbrodni, z której pragnął oczyścić niewinnego. Dalej błagał zacnego kapłana ażeby starał się wpłynąć na hrabiego de Trémeillan, aby dla obrony siebie, nie potępiał i nie oskarżał zbyt niemiłosiernie zmarłej hrabiny.

Sędziwy proboszcz osłupiał prawie słuchając początku opowiadania Armanda, dalej słuchał z najżywszem zajęciem, a naraszcie gdy oznajmił o niezachwianem postanowieniu spełnienia obowiązku, pomimo niewysłowionych cierpień jakie z tego powodu na niego spadną, nie był w stanie ukryć głębokiego wzruszenia.

Gdy Armand przestał mówić, proboszcz serdecznie uścisnął jego dłonie i milcząc odwrócił głowę, może dla tego aby młody adwokat nie dostrzegł po za okularami łez błyszczących w jego oczach.

Opanował nakoniec swoje wzruszenie i rzekł poważnie:

— Nie znam żadnych szczegółów tej sprawy, kochany panie Armandzie.

— Ale to być nie może! zawołał d'Arçay z żywością. Ksiądz proboszcz musiał otrzymać jakieś wyznania... Czyby hrabia de Trémeillan miał innego spowiednika?

— Powtarzam raz jeszcze że nic nie wiem, odpowiedział proboszcz stanowczym tonem.

— Niezbyt dawno, w pałacu d'Albrays wyrzekł ksiądz proboszcz słowa, które utkwiły mi w pamięci; odnosiły się do ukrytych zbrodni których istnienia nikt nie domyśliłby się w naszej okolicy, tak spokojnej na pozór... Czy nie stosowały się do morderstwa popełnionego na panu de Mortrée, do otrucia Maryanny Torquenié i do wstrętnej zbrodni hrabiego de Trémeillan, który zamiast przyznać się do winy, dozwolił aby w jego miejsce niewinnego skazano na galery?

— Powtarzam raz jeszcze że nie wiem nic... nic zupełnie... Proszę cię, panie Armandzie, nie pytaj mnie o to.

— Zastosuję się do woli księdza proboszcza, od-

powiedział Armand z ukłonem. Trudno byłoby mi zresztą przypuścić, aby wiedząc kto popełnił zbrodnię, mógł ksiądz proboszcz nie spełnić powinności oskarżenia prawdziwego winowajcy.

— My kapłani nie oskarżamy nikogo, kochany panie Armandzie; grzesznicy przychodzący do konfesyonału wiedzą że usta nasze nie powtórzą nigdy tego co nam wyznali. Pobudzamy ich do skruchy i pokuty, wskazujemy drogę zbawienia, a jeźli nie chcą na nią wstąpić, polecamy ich miłosierdziu Boga, ale nie odwołujemy się nigdy do sprawiedliwości ludzkiej.

Te słowa proboszcza wypowiedziane z głębokiem przejęciem, sprawiły na Armandzie silne wrażenie.

— Zrozumiałem, rzekł Armand powstając, i proszę aby mi ksiądz proboszcz przebaczył moje natręctwo, i pomodlił się aby mi Bóg udzielił dość siły do spełnienia tak ciężkiego obowiązku.

— O! to żądanie spełnię z największą chęcią, mój ty szlachetny, mężny, młody przyjacielu, rzekł wzruszony proboszcz, ściskając ręce Armanda. To co czynisz, jest piękne i wzniosłe; Bóg błogosławić ci będzie, jak błogosławi cię w tej chwili jego stary kapłan. Ubolewam nad tobą i podziwiam cię zarazem.

Stali czas jakiś w milczeniu. Proboszcz zdawał się roztrząsać coś w myśli z najgłębszą rozwagą.

— Zaczekaj tu na mnie chwilkę, rzekł nakoniec, nie mogłem uczynić czego żądałeś ode mnie, ale to co ci chcę ofiarować może także mieć dla ciebie ważne znaczenie.

Oddalił się i zniknął w sieni swego domu, Armand zaś czekał niespokojnie na powrót jego, nie mogąc się domyśleć co takiego zapowiedział mu w sposób tak niejasny.

Ksiądz Dubois ukazał się nakoniec z błękitnem pudełeczkiem w ręku.

— W tem pudełeczku, rzekł proboszcz, znajduje się miniatura wice-hrabiego de Mortrée. Przysłała mi ją z zagranicy, bez żadnego zastrzeżenia, osoba która dawno już zakończyła życie... która przecierpiała bardzo wiele, i której Bóg zapewnie już przebaczył...

Armand otworzył pudełeczko, i z ust jego wydobył się okrzyk podziwienia.

— A! to rysy Małgorzaty! zawołał... Tak, to jej rysy... O! dziękuję, dodał z uniesieniem, przynosi mi to prawdziwą ulgę... Łatwiej mi teraz będzie spełnić mój obowiązek...

Przeszli ogród milcząc, i dopiero przy drzwiach probostwa ksiądz Dubois zatrzymał się i rzekł do Armanda:

— Zapewnie będę jutro w Albrays, czy nie masz jakiego polecenia do panny de Trémeillan?

Powiedział to z taką słodyczą i prostotą, że Armand był głęboko wzruszony jego dobrocią.

— O! jakże jesteś dobrym, księże proboszczu, zawołał, i jak zrozumiałeś mnie dobrze! Powiedz jej że ją uwielbiam .. Powiedz jej że cokolwiek się stanie może rachować na moją miłość... powiedz jej...

— Dość, dość, kochany panie Armandzie, odezwał się proboszcz z uśmiechem, pamiętaj że są rzeczy, których księdzu powtarzać nie wypada... No! będę się starał spełnić twoje polecenie jak można najlepiej .. Bądź zdrów, i niechaj Bóg czuwa nad tobą...

Armand wracał do Mesnil, trochę spokojniejszy; najmniej dwadzieścia razy w ciągu drogi, przyglądał się miniaturze pana de Mortrée. Zrozumiał teraz powód lodowatej obojętności hrabiego dla Małgorzaty. Nienawidził jej zawsze, a jeźli dotąd usiłował ukrywać swe prawdziwe dla niej uczucia, to obecnie objawiał je zapewnie zupełnie otwarcie. Ta myśl przejęła go znów najżywszym niepokojem; nie śmiał zastanawiać się nad tem co musiała cierpieć jego ukochana, trzymana przez hrabiego jakby w więzieniu; wiedział że można było obawiać się wszystkiego ze strony tego gwałtownego i mściwego człowieka.

Dręczony temi myślami, postanowił starać się wszelkiemi siłami o przyśpieszenie rozwiązania tego strasznego dramatu, w którym los kazał mu wziąść czynny udział.

XXIV.

Armand wracając z Bonniéres przechodził koło parku d'Albrays, i wtenczas przyszło mu na myśl wstąpić do domku leśniczego, w celu dowiedzenia się czegoś od Wilczycy.

Ta kobieta znała z pewnością wszystkie szczegóły zbrodni popełnionych dwadzieścia lat temu, w których bez wątpienia brała czynny udział. Wprawdzie, jej dzikie usposobienie i rzeczywista lub udana nieprzytomność umysłu, nie dozwalały się spodziewać aby można było otrzymać od niej jakieś ważniejsze objaśnienie, jednakże Armand postanowił spróbować czy nie uda mu się wybadać ją zręcznie.

Domek był zamknięty, i tylko dym unoszący się z komina dozwalał wnosić że się w nim ktoś znajduje.

Armand zapukał do drzwi; nie odebrał żadnej odpowiedzi. Zaczekał chwilkę i znów zapukał, a gdy się nikt nie odezwał, przycisnął klamkę i drzwi się otworzyły.

Znalazł się w zupełnie ciemnej izbie, gdyż okiennice były zamknięte, a światło wchodziło tylko przez zabrudzoną szybę osadzoną nad drzwiami. Skoro oczy jego przyzwyczaiły się trochę do ciemności, dostrzegł jakąś czarną postać przy kominie na którym tliło się parę głowni, i domyślił się że to musi być Wilczyca.

Uchylił wtenczas drzwi chcąc wpuścić trochę światła, natychmiast wdarł się do izby jasny promień słońca, i Armand mógł zdać sobie sprawę ze wszystkiego co się tam znajdowało. Sprzęty były zupełnie proste, a nad kominem wisiał karabinek, tornister i biała kokarda poczerniała od kurzu.

— Zamknij że drzwi, ladaco, odezwała się Wilczyca swym ochrypłym głosem, sądząc że mówi do chłopca którego trzymała do posługi, a może głównie dla tego aby się uchronić od zupełnej samotności w tym domu, przywodzącym jej na pamięć tak straszne wspomnienia.

Armand postąpił parę kroków i stanął przed nią, tak że światło padało na niego.

Wilczyca siedziała z pochyloną głową, czarny kaptur spadał jej aż na oczy, a w palcach przesuwała paciorki różańca. Podniosła trochę głowę i spojrzała na Armanda.

— A! to pan znowu, rzekła oburkliwie, czegoż pan chce ode mnie?

— Bardzo dziś gorąco i przyszedłem odpocząć u was trochę. Wszak pozwolicie?

Wilczyca mruknęła coś w miejsce odpowiedzi, i zaczęła znów przesuwać różaniec, pochyliwszy prawie do kolan trzęsącą się głowę.

— Macie tu wygodne mieszkanie, rzekł Armand biorąc krzesło, i nie dziwię się że tak kochacie hrabiego de Trémeillan, który dał wam takie schronienie na starość.

— Służymy wiernie Trémeillan'om już blizko czterysta lat, odpowiedziała swym ostrym głosem, nic więc dziwnego że i Trémeillan'owie są dla nas dobrzy.

— Pomimo to, gdybym był na waszem miejscu, prosiłbym hrabiego aby mi dał jakieś inne mieszkanie.

— A to dla czego?

— Wszakże powiedziałem wam już kiedyś, iż nie życzyłbym sobie mieszkać w pokoju w którem popełniono tak straszną zbrodnię... Słyszeliście zapewnie że ją znów widziano, dodał pochylając się ku Wilczycy z tajemniczą miną.

— Kogo widziano?

— Tę otrutą kobietę, Maryannę. Znam dwie osoby które ją widziały; pierwszy raz siedziała nad wodą i płakała; drugi raz, było to około północy ale księżyć świecił jasno, szła wąwozem zwanym *Trou-du-Chat*, a szła bardzo wolno i zdawała się czegoś szukać. Twarz jej miała być strasznie blada.

Armand nie mógł dostrzedz twarzy Wilczycy przysłoniętej kapturem, ale ręce jej drżały, a paciorki różańca uderzały o siebie, sztukając lekko.

— Być może że i wy zobaczycie ją także prędzej lub później... mówił dalej Armand. Zapewnie skończyła na tem łóżku, dodał wskazując na łóżko stojące w rogu pokoju i osłonięte zielonemi firankami. Doprawdy nie chciałbym spać na niem.

— Dlaczego mi to pan mówisz? zawołała Wilczyca głuchym i drżącym głosem.

— Mówię co myślę; chociaż zastanowiwszy się lepiej, trzeba przyznać, iż kto był uczciwym przez całe życie i nie ma sobie nic do wyrzucenia, ten nie potrzebuje obawiać się umarłych. Chciałem się tylko dowiedzieć od was, czy, bywając tak często w parku tak w dzień jak zapewnie i w nocy, nie widzieliście czasem tego widma o którego pojawianiu się słyszałem.

— Nigdy nic nie widziałam; nie wiem zupełnie o jakiem widmie pan mówi, odpowiedziała Wilczyca, i zaczęła z gorączkowym pośpiechem odmawiać różaniec.

Armand widząc że nie dowie się od niej niczego, pożegnał ją i wyszedł.

XXV.

Wilczyca siedziała długo przy kominie skurczona i nieruchoma, ale z ust jej wyrywały się jakieś słowa przerywane, bez związku, przeplatane ciężkiemi westchnieniami, a w palcach przesuwała bezmyślnie paciorki różańca.

Nakoniec, około czwartej godziny, podniosła się, i jak zwykle o tej porze, poszła do parku zbierać suche gałęzie.

Już się ściemniło gdy wróciła, niosąc sporą wiązkę gałęzi i świeżą trawę dla swej kozy. Zrzuciła z siebie ciężar na podwórku i zawołała na chłopca chcąc aby zaniósł drzewo do domu. Ale widać że chłopiec, korzystając z jej nieobecności, wybiegł zabawić się z towarzyszami lub wykręcać gniazdka, bo nikt jej nie odpowiedział.

Zawołała powtórnie, a gdy i to nie pomogło, zabrała mrucząc trawę i zaniosła ją do obórki w której stała jej koza.

Następnie weszła wolno na schodki prowadzące do domku. Słońce już zaszło, a ponieważ okiennice były pozamykane, w pokoju było zupełnie ciemno. Wzięła po omacku z nad komina świecę osadzoną w żelaznym lichtarzu, i zapaliła ją prędko.

Widać to co powiedział jej Armand, zrobiło na niej pewne wrażenie, bo rzucała koło siebie niespokojne spojrzenia.

Jakkolwiek obdarzona niezwykłą energią, była zabobonną jak wszyscy wieśniacy; wierzyła ślepo w upiory i dusze pokutujące po świecie. Chodziła też niespokojnie po izbie, mrucząc coś niezrozumiale, a pomimo że wieczór był ciepły, dreszcz wstrząsał niekiedy całem jej ciałem.

Przyniosła z podwórka trochę gałęzi, ułożyła je na kominie i rozdmuchała ogień, a gdy płomień wznioślszy się już w górę oświecił izbę, zagasiła świecę.

Miała zamiar zdjąć z pułki mały miedziany kociołek, który chciała zawiesić nad ogniem, ale przechodząc koło łóżka, zadrżała i zatrzymała się nagle; zdawało jej się że zielone firanki osłaniające je zupełnie, poruszyły się trochę.

Przy tem nagłem poruszeniu, czarny kaptur zsunął się na ramiona Wilczycy, i wtenczas ukazała się jej twarz charakterystyczna i głowa pokryta siwemi rozczochranemi włosami, które uwydatniały jeszcze silniej ciemną jej cerę, i czarne połyskujące oczy.

Utkwiła te oczy wytrzeszczone z przestrachu w zielone firanki, cofając się wolno do drugiego pokoiku, i miała otworzyć do niego drzwi, gdy posłyszała jakby cichy jęk wychodzący z ciemnego kąta w którym stało łóżko.

Wilczyca zatrzymała się, a potem zaczęła przysuwać się do łóżka, wolno, z wyciągniętemi przed siebie rękami, z oczyma silnie rozwartemi pod wpływem coraz bardziej wzrastającego przestrachu.

Tym sposobem znalazła się nakoniec zaledwie o dwa kroki od łóżka, wahała się chwilę, a następnie, chcąc zwolnić się od dręczącej ją niepewności, poskoczyła naprzód i rozsunęła gwałtownie firanki. Jednocześnie głuchy krzyk wydarł się z jej piersi, i potoczyła się na dębowy stół stojący na środku izby.

Za firankami spadającemi aż do podłogi, ukazała jej się twarz pokryta śmiertelną bladością...

Twarz Maryanny Torquenié!

Siedziała na łóżku z zakrzyżowanemi na piersiach rękami, w takiem samem ubraniu jakie miała na sobie na kilka dni przed śmiercią.

Nastąpiło głuche milczenie, przerywane tylko rzężeniem odzywającem się w piersiach Wilczycy, której przestrach zatamował oddech, i która zasłoniła oczy ręką, aby się uwolnić od tak przerażającego widoku.

Widmo powstało i posunąwszy się parę kroków tak lekko że nie było słychać najmniejszego szelestu, zatrzymało się przed Wilczycą wpatrując się w nią nieubłaganym wzrokiem.

— Czy mnie poznajesz? odezwało się nakoniec głuchym, grubowym głosem; a nie odbierając żadnej odpowiedzi, mówiło dalej: — To ty odebrałaś mi życie, ty mnie otrułaś... Staniesz już niedługo przed sądem Boga... ale zanim opuścisz ten świat, musisz przyznać się do popełnionej zbrodni. Niewinny cierpiał za ciebie... powinien być pomszczonym! Jeźli się nie przyznasz będę tu przychodzić codzień, co noc, i stawać przed tobą z tą martwą twarzą która cię tak przeraża... Zawezwij urzędników sądowych, niech przyjdą tu, do twego domu, zaraz jutro rano, i opowiedz im wszystko co się stało dwadzieścia lat temu. Jeźli ukryjesz choćby najdrobniejszy jakiś szczegół, jeźli zechcesz kłamać, powrócę tu... czy słyszysz? powrócę!...

Maryanna Torquenié wymówiła te słowa groźnym tonem, z zaciśniętemi zębami, i postąpiła krok jeszcze ku swej zabójczyni, wlepiając w nią ogniem błyszczące oczy.

Wilczyca krzyknęła i padła na ziemię otrętwiała z przerażenia.

XXVI.

Nazajutrz, około południa, na drodze do pałacu d'Albrays, pędził szybko powóz, w którym siedziało dwóch urzędników sądowych i Armand d'Arçay.

Zaledwie słońce weszło, przybiegł do Armanda chłopiec posługujący Wilczycy, i powiedział mu że tej biedaczce wyraźnie przewróciło się coś w głowie; nie chciała pozostać na noc w domu, i położyła się spać w obórce, co w jej wieku musiało jej zaszkodzić. To też, prawdopodobnie, zbliża się już ostatnia jej godzina. Nic nie mówi, siedzi skulona w kącie ogrodu, i nie chce wrócić do domu. Biedny chłopiec zdawał się bardzo przerażony dziwnem postępowaniem Wilczycy.

— Przed godziną, dodał, odezwała się do mnie w te słowa: „Idź do adwokata mieszkającego w Mesnil, i powiedz mu aby przyszedł do mnie i przyprowadził z sobą urzędników sądowych, chcę im coś powiedzieć.” I przyszedłem, proszę pana, ale zdaje mi się, że biedaczka potrzebowałaby przedewszystkiem doktora.

— Powiedz jej, rzekł Armand, wsuwając chłopcu pieniądz w rękę, że przybędę do niej wkrótce z urzędnikami.

Kazał zaprządz do powozu i pośpieszył do Rennes.

Zawezwał do pomocy dwóch swoich przyjaciół, na których mógł liczyć z pewnością, że nie zdradzą powierzonej im tajemnicy. Opowiedział im znane mu już szczegóły tej strasznej sprawy, i uwiadomił jakim sposobem potrafił skłonić Wilczycę do wyznania swego udziału w zbrodni. Dodał następnie że mu się to powiodło nadspodziewanie, i że Wilczyca złudzona podobieństwem Joanny do matki, tak się przestraszyła iż zdaje się pragnie złożyć ważne zeznania.

Trzeba tylko było przyjąć je od niej jak najśpieszniej; raz że silne wstrząśnienie jakiego doznała, może śmierć jej przyśpieszyć, a powtóre że ochłonąwszy z przerażenia, mogłaby żałować tej chwili słabości i nie chcieć odkryć tajemnicy dotyczącej jednocześnie jej pana.

Uznając słuszność tej obawy, udali się natychmiast do Albrays.

Armand udzielił jeszcze swym towarzyszom w drodze różnych objaśnień mogących im ułatwić badanie, a sędzia śledczy i prokurator słuchali go z największem zajęciem. Przyrzekli młodemu adwokatowi że może liczyć na ich gorliwość i milczenie, oraz że uczynią wszystko co będzie w ich mocy, aby rehabilitacya Jana Torquenié nie pociągnęła za sobą zbyt przykrych następstw. Winszowali mu zarazem z uniesieniem mocy duszy jaką okazał w tak bolesnych dla siebie okolicznościach.

Zatrzymali powóz o jakie sto kroków od domku leśniczego, i doszli do niego piechotą; czekający już na nich chłopiec, otworzył im drzwi mieszkania Wilczycy.

Nie zastali jej w pierwszej izbie gdzie przebywała zwykle, i gdzie wczoraj ukazało jej się to straszne widmo. Schroniła się przed niem do ciemnej komory znajdującej się za kuchnią.

Armand prosił towarzyszów aby zaczekali na niego chwilkę, i poszedł po Wilczycę, którą jednak prawie gwałtem przyprowadził do nich, i zmusił aby usiadła na zwykłem swem miejscu przy kominie.

Miała jak zwykle kaptur na głowie i siedziała skulona, drżąca, jak w febrze.

— Wzywałaś nas do siebie, odezwał się Armand, a zatem powiedz czego od nas żądasz.

Nie odbierając żadnej odpowiedzi, był zmuszony powtórzyć pytanie.

— Nic nie chcę i nie mam nic do powiedzenia, odpowiedziała nakoniec opryskliwie Wilczyca.

— Zdawałaś się jednak bardzo pragnąć, abyśmy do ciebie przybyli.

— Muszę pierwej pomówić z panem.

— Z jakim panem?

— Z hrabią... z hrabią Henrykiem.

— To być nie może, odpowiedział Armand.

Potem, jakby mu zabłysła jakaś myśl nowa, dodał:

— Tak, to być nie może; nie zobaczysz już nigdy hrabiego de Trémeillan... Hrabia dziś w nocy zakończył życie.

Wilczyca zadrżała i podniosła nagle głowę.

— Umarł! zawołała. Umarł!... Czyż i on widział ją także?... szepnęła z dreszczem przerażenia.

— Namyśl się nad tem dobrze, mówił dalej Armand; spełniliśmy twoje żądanie przychodząc dziś do ciebie, ale jeżeli nie zechcesz mówić zaraz, wyjdziemy natychmiast i nie przyjdziemy więcej.

— Nie mam nic do powiedzenia, mruknęła Wilczyca.

Armand skinął na swych towarzyszy; wstał i wraz z nim zwrócili się ku drzwiom.

Byli już blizko progu, gdy Wilczyca patrząc na nich z najżywszym niepokojem, zawołała:

— Zatrzymajcie się panowie jeszcze chwilkę! proszę was bardzo.

Gdy spełnili jej życzenie, dodała rzucając na nich pełne obawy spojrzenie.

— Nie zechcecie przecie tak opuścić biednej, chorej kobiety... Często mi się coś w głowie plącze... a to coście mi powiedzieli... Umarł tak nagle! on!... on, co był tak silny jak nasze dęby.. Umarł dziś w nocy!... To ona musiała pozbawić go życia... A! zawołała po chwili, wszystko to jak kamień cięży mi na sercu... Muszę powiedzieć prawdę... Tak, muszę... wszak nie możecie mu już szkodzić, skoro nie żyje?

Wsparła głowę na pomarszczonych rękach i rozmyślała długo. Armand i towarzysze jego zajęli napowrót swe miejsca. Pan Jousserin, sędzia śledczy, wyjął z kieszeni papier, na którym miał spisywać jej zeznania.

— Byłam pewna że zabiorę tę tajemnicę z sobą do grobu, odezwała się Wilczyca, utkwiwszy oczy w dogorywające juz głownie... Ukrywałam to przez dwadzieścia lat... ukrywałam tak starannie! .. a teraz muszę wyznać wszystko... Tak, muszę... bo inaczej ..

Zatrzęsła się cała i zwróciła oczy na łóżko z wyrazem przerażenia.

— Zresztą, mówiła dalej wstrząsając głową, może mi to sprawi jakąś ulgę... ciężko to dźwigać taką tajemnicę... były chwile w których przygniatała mnie zupełnie .. Umarł!... już umarł!..

Mówiąc to zbliżała się wolno do swych słuchaczów, a następnie rzekła tak zniżonym głosem że ją zaledwie dosłyszeć mogli:

— Panowie, to ja zabiłam pana de Mortrée!... To ja otrułam Maryannę Torquenié!

Następnie, tak z własnego popędu jakoteż przynaglana pytaniami Armanda, opowiedziała straszne wypadki, w których brała tak ważny udział dwadzieścia lat temu.

(D. c. n.)

Opis do N-ru 7.

(Dalszy ciąg.)



N. 1. Sukieneczka z karczkiem dla chłopczyka lat 2—4. Krój na arkuszu N. V, fig. 24—27.

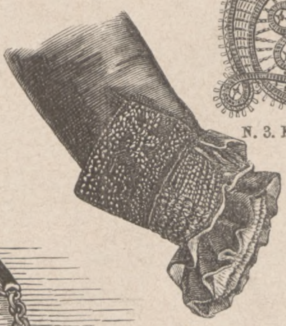


N. 4. Brosza w formie muszli.

N. 3. Kołnierz koronkowy. Patrz ryc. 4 w N-rze 6. Deseń na arkuszu fig.

N. 15. Płaszczyk z dolmanowemi rękawami. Krój na arkuszu N. IX, fig. 38.

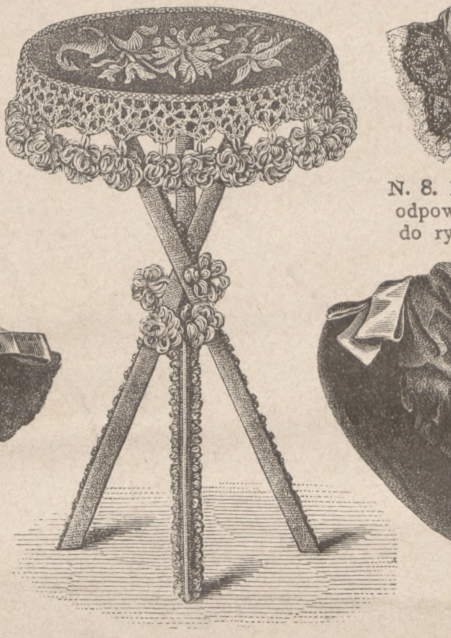
Odrobiony z granatowego korciku, oszyty jest w koło szyi i u rękawów 14 c. szerokiem obłożeniem futrzanem, guziki wielkie rogowe. Ponieważ forma płaszczyka bardzo mało różni się od podawanych poprzednio, dlatego dajemy ją w maleńkim formacie. Spodnia połowa rękawów kraje się w jednym ciągu z przodami A i dodaje do nich mały klinik dopełniający pachę. Boki oznaczone literą B, zakładają się w cztery wązkie fałdki, przedzielane odstępami $2\frac{1}{2}$ cent. szerokiemi.



N. 7. Rękaw z wyszyciem z perełek do r. 18.



N. 8. Rękaw odpowiedni do ryc. 18.



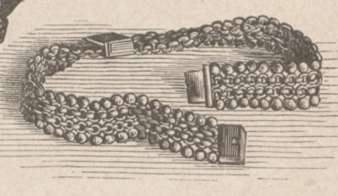
N. 11. Stoliczek do książek. Patrz ryc. 12 i 49.

N. 16 i 38 Płaszczyk z fałdowanemi plecami. Krój na ark. N. IV, fig. 19—23a.

Odpowiedni i bardzo dogodny do zarzucenia na strojne lub wieczorowe ubranie, może być uszyty z kaszmiru lub t. p. materyału wełnianego albo miękkiego jedwabnego, na lekko watowanej podszewce jedwabnej, flanelowej lub pluszowej. Drobne plisowanie 9 c. szerokie, dane dwomarzędami u dołu płaszczyka po fałdy w plecach, przy rękawach i w około szyi, w formie kołnierza odznaczonego na fig. 23. Kokardy z wstążki atłasowej 6 c. szerokiej. Zestawienie wszystkich części krojn ułatwia zmniejszony jego format; boczki krają się w jednym ciągu ze zwierzchnią połową rękawów.



N. 5. Bransoleta w kształcie podkowy.



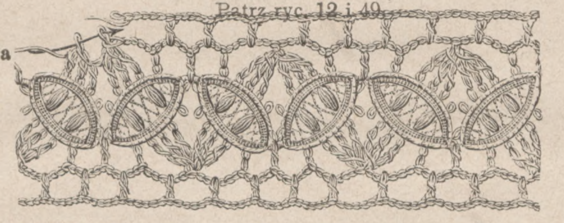
N. 6. Naszyjnik złączony z dwóch bransolet.



N. 9. Kapotka dla młodych osób. Patrz ryc. 10.



N. 10. Kapotka dla młodych osób. Patrz ryc. 9.



N. 13. Wszywka szydełkowa z tasiemką medalionową.

N. 18 i ryc. 7—8. Suknia z vement à panier. Przód sukni i krój na arkuszu N. VII, fig. 34—35.

Atłas bordeaux i takież koronki hiszpańskie stanowią materyał na tę strojną suknię; spódnica nie sięgająca ziemi oszyta plisowaniem. Fig. 34 wskazuje krój vêtement z dodaniem materyału na fałdy, które z przodu i na plecach założone płasko, rozsuwają się wolno na kilka cent. poniżej wcięcia stanu. Podpięcie panier utrzymują z boków piękne szmuklerskie rozety z kwastami.



N. 14. Kosz do papierów ozdobiony haftem. Deseń na fig. 80.



N. 2. Sukieneczka z bawełnianym paskiem dla małego dziecka. Patrz ryc. 17.

N. 19. Sukienka z szarfą.

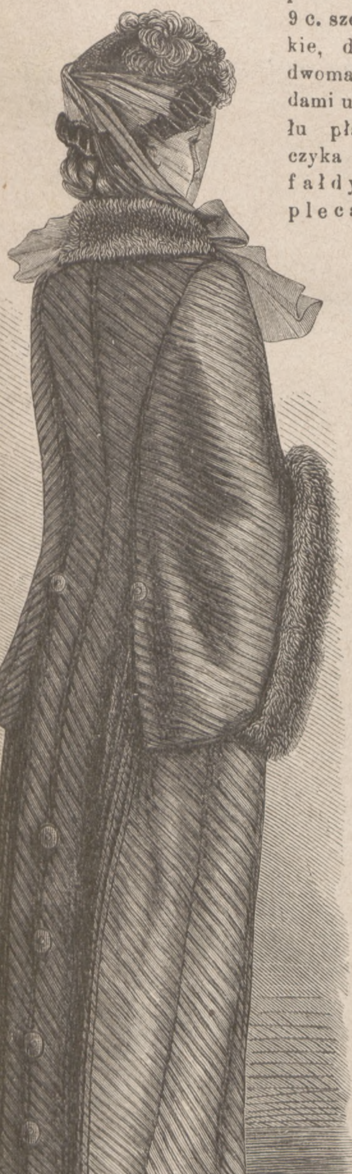
Spódniczkę przysłaniają plisowane falbanki stopniowej szerokości; gładki stanik zapinany z tyłu, wycięty jest kwadratowo i ma krótkie rękawki bufowane i bertę plisowaną z koronką. Szarfa jedwabna.

N. 20. Stanik z chusteczkowem przybraniem.

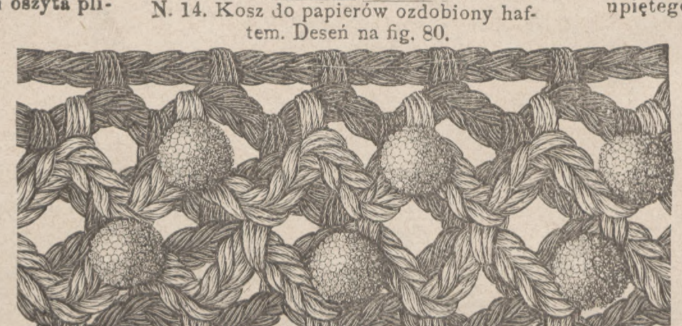
Gustownie odrobiony stanik z bufowanemi krótkiemi rękawkami i okrągłą baskiną, jest z lekkiego materyału cały zakładany w drobniutkie fałdki, przemarszczone ściśle na wcięciu stanu. Oryginalne w zupełnie nowym guście, przybranie stanowi długa chusteczka, wysuwająca się z pod koronkowego kołnierza, zakończona kwastami pomieszanemi ze złotem i przypięta szpilkami z łańcuszkami. Suknia ta była uszyta z materyi surah żółtawo-białego koloru, chusteczka zaś z podwójnie wziętego indyjskiego muślinu.

N. 21. Ubranie wieczorowe z atłasowym stanikiem.

Na spódnicy z bladożółtego tarlatanu, ułożone jest bardzo strojne przybranie, składające się z koronki hiszpańskiej 7 cent. szerokiej danej na plisie atłasowej, przedzielanej plisowaniem tarlatanowem. Upięcie à panier ozdobione jest pasami wszywki koronkowej 7 cent. szerokiej, danej w odstępach 12 cent., takaż wszywka dana u dołu bryta upiętego z tyłu. Stanik



N. 15. Płaszczyk z dolmanowemi rękawami. Krój na arkuszu N. IX, fig. 38.



N. 12. Szlak szydełkowy do ryc. 11.



N. 16. Płaszczyk z fałdowanemi plecami. Patrz ryc. 38. Krój na arkuszu N. IV, fig. 19—23a.



N. 17. Sukieneczka z bawetowym paskiem dla dziecka. Patrz ryc. 2. Krój na ark N. VI, fig. 28-33.

N. 18. Suknia z vêtement à panier. Krój na arkuszu N. VII, fig. 34—35.

N. 19. Sukienka z szarfą.

N. 20. Suknia z chusteczkowem przybraniem stanika.

N. 21. Suknia z wyciętym stanikiem.

N. 22. Sukieneczka dla dziecka.

N. 23. Sukieneczka princesse dla dziewczynki.

N. 24. Sukieneczka dla dziecka do chrztu. Krój na arkuszu N. III, fig. 14-18.

N. 25. Suk… zdobna h… tem.

N. 26. Suknia z bawetowym stanikiem. Patrz ryc. 27. Krój na arkuszu N. II, fig. 8—13.

N. 29. Suknia z fałdowanem vêtement.

N. 30. Suknia z bluzką fałdowaną.

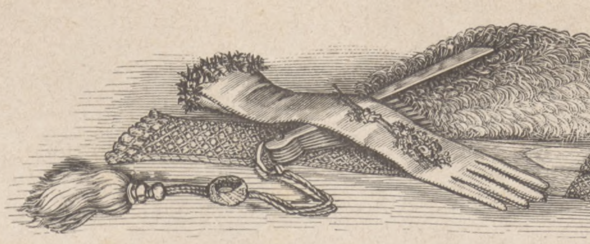
N. 28. Suknia princesse dla starszej osoby.

N. 31. Suknia z vêtement deseniowem.

N. 27. Suknia z bawetowym stanikiem. Patrz ryc. 26. Krój na arkuszu N. II, fig. 8—13.

N. 32. Suknia z frakowem vêtement. Krój i przód na arkuszu N. VIII, fig. 36—37.





N. 33—35. Modne rękawiczki i wachlarz.



bawetowy z żółtego atłasu, u dołu ogarnirowany riuszą, a przy wykroju zdobny bertą koronkową.

N. 22. Sukieneczka dla dziecka.

Uszyta z aksamitu czarnego lub kolorowego, przybrana koronką hiszpańską i przewiązana szarfą w kratę z bladych kolorów.

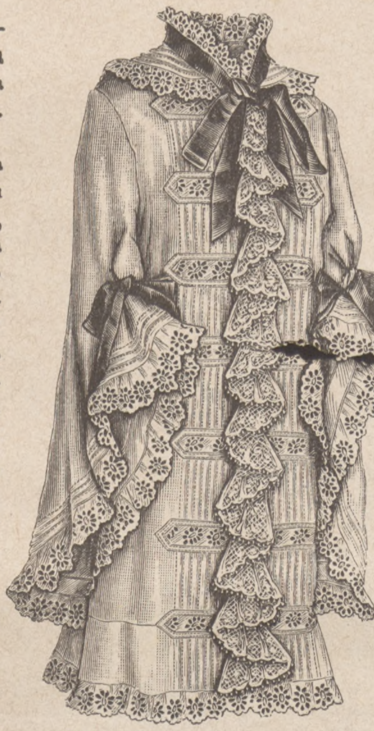
N. 23. Sukieneczka princesse dla dziewczynki.

Uszyta z aksamitu bordeaux, zakończona u dołu atłasowem plisowaniem 7 cent. szerokiem i marszczoną koronką; kieszonki po 13 cent. długie 11 szerokie, naszyte są koronką i przewiązane wstążką 4 cent. szeroką; wykrój szyi ogarnirowany koronką przepiętą kokardami. U dołu pleców kokarda ze wstążki 12 cent. szerokiej.

N. 36. Ubranie z kwiatów do sukni balowej.

N. 24. Sukienka dla dziecka do chrztu. Krój na arkuszu N. III, fig. 14—18.

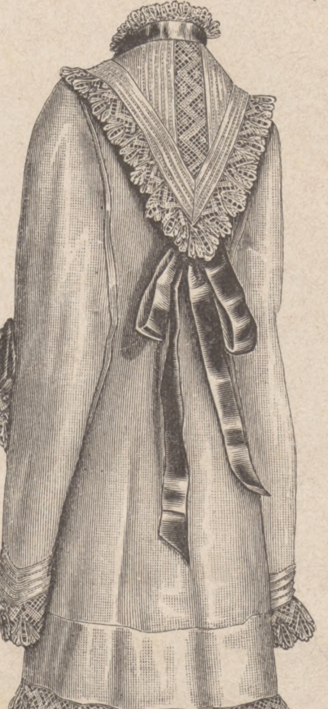
Uszyta z cienkiego muślinu i strojnie przyozdobiona z przodu; plastron szyje się podług fig. 14, zaczynając od części górnej 65 cent. długiej, złożonej z haftowanych i koronkowych wstawek 3 cent. szerokich, przedzielanych muślinowemi falbankami 2 c. szerokiemi oszytemi koronką; dolna połowa plastronu składa się z pasa wszywek 12 c. szerokiego i z dwóch falban muślinowych składanych w kontrafałdy, po 9 c. szerokich. Wszywki u dołu ścięte są w zęby ostębnowane wąziutką pliseczką; boki plastronu zakończa riusza muślinowa z koroneczką, przystębnowana w środku pliską i falbanka u góry 2 cent., na wcięciu 1 cent. szeroka a ku dołowi rozszerzona do 6 cent. Fig. 15 daje formę przodów krajanych w całej długości, plecy zaś są dopełnione częścią oddzielną (fig. 18), zmarszczoną w górze i złączoną z plecami za pomocą wązkiego paska, u dołu zakończoną obrębem 8 c. szerokim, nad którym dane cztery lub sześć wązkich zakładek, na które trzeba naddać materyału. Rękawki zszyte są ze wstawek i zakończone falbaneczką. Pod sukienkę można dać podwleczenie jedwabne lub batystowe kolorowe.



N. 39. Penioar z szerokiemi rękawami. Patrz ryc. 40. Krój na ark. N. XI, fig. 58-60a.



N. 38. Płaszczyk z fałdowanemi plecami. Patrz ryc. 16.



N. 40. Penioar z szerokiemi rękawami. Patrz ryc. 39.

N. 25. Suknia ozdobiona haftem.

Odrobiona jest z żółtawej materyi jedwabnej, stanowiącej doskonałe tło pod haft z kolorowej szneli i perełek, szeroko zdobiący tunikę; przybranie stanowią koronki i frendzla sznelowa. Tunika z jednej strony długo spuszczona, z drugiej wysoko podniesiona odsłania falbany koronkowe i jedwabne, składane w kontrafałdy. Stanik oszyty szeroką koronką, także koronka dana przy podłużnym wykroju sukni i półdługich rękawach.

N. 37. Ubranie z kwiatów do sukni balowej.

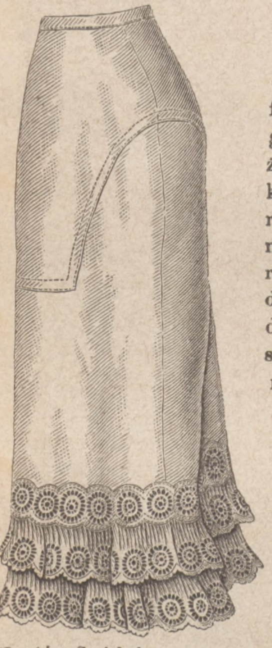
N. 26—27. Suknia z bawetowym stanikiem. Krój na arkuszu N. II, fig. 8—13.

Ryc. 26—27 przedstawiają bardzo gustowną toaletę, odznaczającą się odrobieniem bez przesady w przybraniu; ryc. 26 przedstawia przód sukni z jasnego atłasu, a ryc. 27 suknię czarną aksamitną. Spódnica z trenem z przodu jest gładka, z tyłu zaś ma bryty podpięte w bufę; stanik bawetowy z kwadratowym wykrojem i półdługiemi rękawkami ma dodane koronkowe panier. Przybranie składa się z plisowania 5 c. szerokiego, 10 c. szerokiej marszczonej falbany, koronki hiszpańskiej 13 cent. szerokiej i wstążki atłasowej 4 i 6 cent. szerokiej. Koronki i tiul koronkowy na panier dobiera się czarny lub biały, stosownie do koloru sukni. Prócz kroju stanika w naturalnej wielkości, dajemy w malóńkim formacie na fig. 12—13 wskazanie kroju panier i spódnicy, z oznaczeniem miar szerokości i długości. Stnnik zapina się na kryte haftki; plisa atłasowa 4 cent. szeroka przykrywa przyszycie koronki marszczonej 7 c. szerokiej, danej w około wykroju i wzdłuż przodu stanika i przepinanej kokardami podług ryc. 26. Górny okrągławy brzeg panier zakłada się w trzy ku górze zwrócone fałdy i przyczepia gładko do stanika; tylny brzeg jest ściśle sfałdowany, dolny krajany prosto, tylko w rogu przednim przez założenie dwóch fałd podług fig. 13, jest trochę zaokrąglony.

(D. n.)



N. 41—43. Ubranie dla chłopca lat 5—7. Krój na arkuszu N. XII, fig. 61—67.



N. 44. Spódnica z prosto ściętym karczkiem. Krój na ark. N. XIV, fig. 74—76.



N. 45. Spódnica z okrągłym paskiem. Krój na arkuszu N. XV, fig. 77—78.



N. 46. Kaftanik włóczkowy wycięty. Patrz ryc. 3 w N-rze 6.



N. 47. Część hiszpańskiego haftu do ryc. 48.



N. 48. Poduszka do kanapy. Haft hiszpański. Patrz ryc. 47 i fig. 50—52.



N. 49. Część haftu do ryc. 11.

TYGODNIK MÓD.

w Warszawie 1882 r.

Dodatek z krojami i deseniami do N. 6. i 7.

N. I. Stanik wycięty do sukni ryc. 23 w N-rze 6. Miara objętości przez połowę: 48 cent. w gorsie, 31 w pasie.

Fig. 1. Przód (A, B, G, H, J).
Fig. 2. Pierwszy boczek (A, B, C, D).
Fig. 3. Drugi boczek (C, D, E, F).
Fig. 4. Połowa pleców (E, F, G, H, K).
Fig. 5. Rękaw (A, *)
Fig. 6. Wykład przedni (G, J).
Fig. 7. Wykład tylny (G, K,).

N. II. Stanik z bawetem, spódnica z trenem i draperya do sukni ryc. 26 i 27 w N-rze 7.

Miara objętości przez połowę: 46 cent. w gorsie, 29 w pasie.

Fig. 8. Przód (L, M, P, Q, R,) 1 założenie.
Fig. 9. Boczek (L, M, N, O,).
Fig. 10. Połowa pleców (N, O, P, Q,).

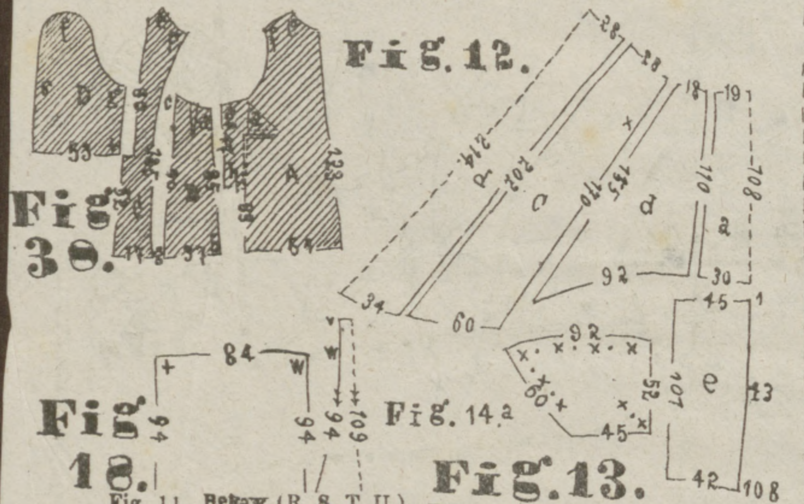


Fig. 12. Fig. 38. Fig. 18. Fig. 14a. Fig. 13.

Fig. 11. Rękaw (R, S, T, U,).
Fig. 12. Wskazanie kroju połowy sukni z trenem i draperyi a połowa przodu, b klin boczny, c pierwszy bryt tylny, d połowa drugiego bryta, e połowa draperyi.
Fig. 13. Wskazanie kroju panier.

N. III. Sukieneczka do chrztu. Rycina 24 w N-rze 7.

Fig. 14. Połowa plastronu (V, W,).
Fig. 15. Przód i połowa pleców (V, W, X, Y. Z, *, +)
Fig. 16. Ramiączko (V, X, Y, Z)
Fig. 17. Połowa rękawka (*, :)
Fig. 17. Wskazanie kroju tylnego bryta (W, +).
fig. 14a. Zmniejszony format połowy plastronu Fig. 14.

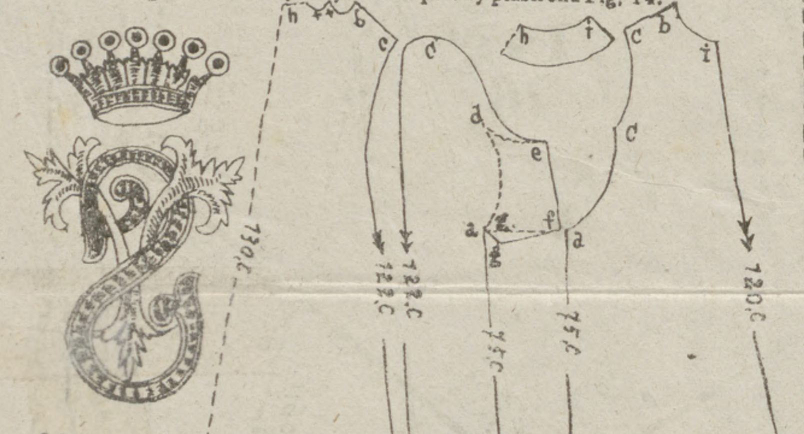


Fig. 19a 23a

N. IV. Płaszczyk z fałdowanemi plecami. Ryc. 16 i 38 w N-rze 7.

Fig. 19. Połowa przodu (a, b, c, d, i)
Fig. 20. Bok wraz ze zwierzchnią połową rękawa (a, c, d, e, f, g)
Fig. 21. Połowa pleców (b, c, h. × 1 i · 1 do × · 2)
Fig. 22. Spodnia połowa rękawa (d, e, f, g)
Fig. 23. Połowa kołnierza (h, i)
fig. 19—23a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju Fig. 19—23.

N. V. Sukieneczka z karczkiem dla dzieci lat 1—4. Ryc. w Nr. 7.

Fig. 24. Połowa przodu i pleców (k, l, m, n, q)
Fig. 25. Połowa przedniego karczka (m, n, o, p)
Fig. 26. Połowa karczka do pleców (m, n, o, p)
Fig. 27. Rękaw (q, r, s, t)

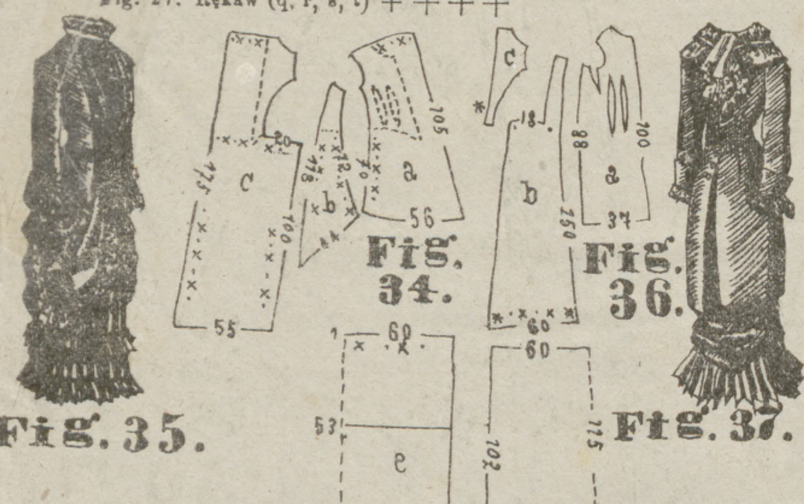


Fig. 34. Fig. 36. Fig. 35. Fig. 37.

N. VI. Sukieneczka z paskiem bawetowym dla dzieci lat 2—4. Ryc. 2 i 17. w N-rze 7.

Fig. 28. Przód (1, 2, 5, 6, 7, 9, 14)
Fig. 29. Pierwsza część pleców (1, 2, 3, 4, 6)
Fig. 30. Druga część pleców (3, 4, 5, 8, 13)
Fig. 31. Pasek z bawetem (7, 8, *)
Fig. 32. Rękaw (9, 10, 11, 12)
Fig. 33. Połowa kołnierza (13, 14)

N. VII. Vetêment à panier i przód sukni ryc. 18 w N-rze 7.

Fig. 34. Wskazanie kroju połowy vetement w zmniejszeniu, podług kroju Nr. II w dziesiejszym N-rze a przód, b. boczek, c połowa pleców.
Fig. 35 Przód sukni.

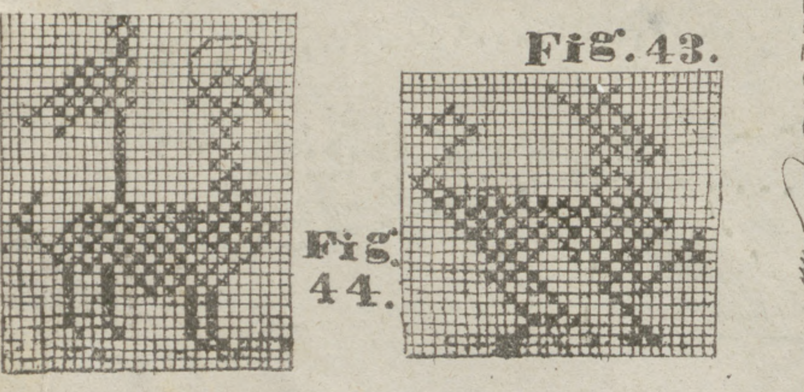
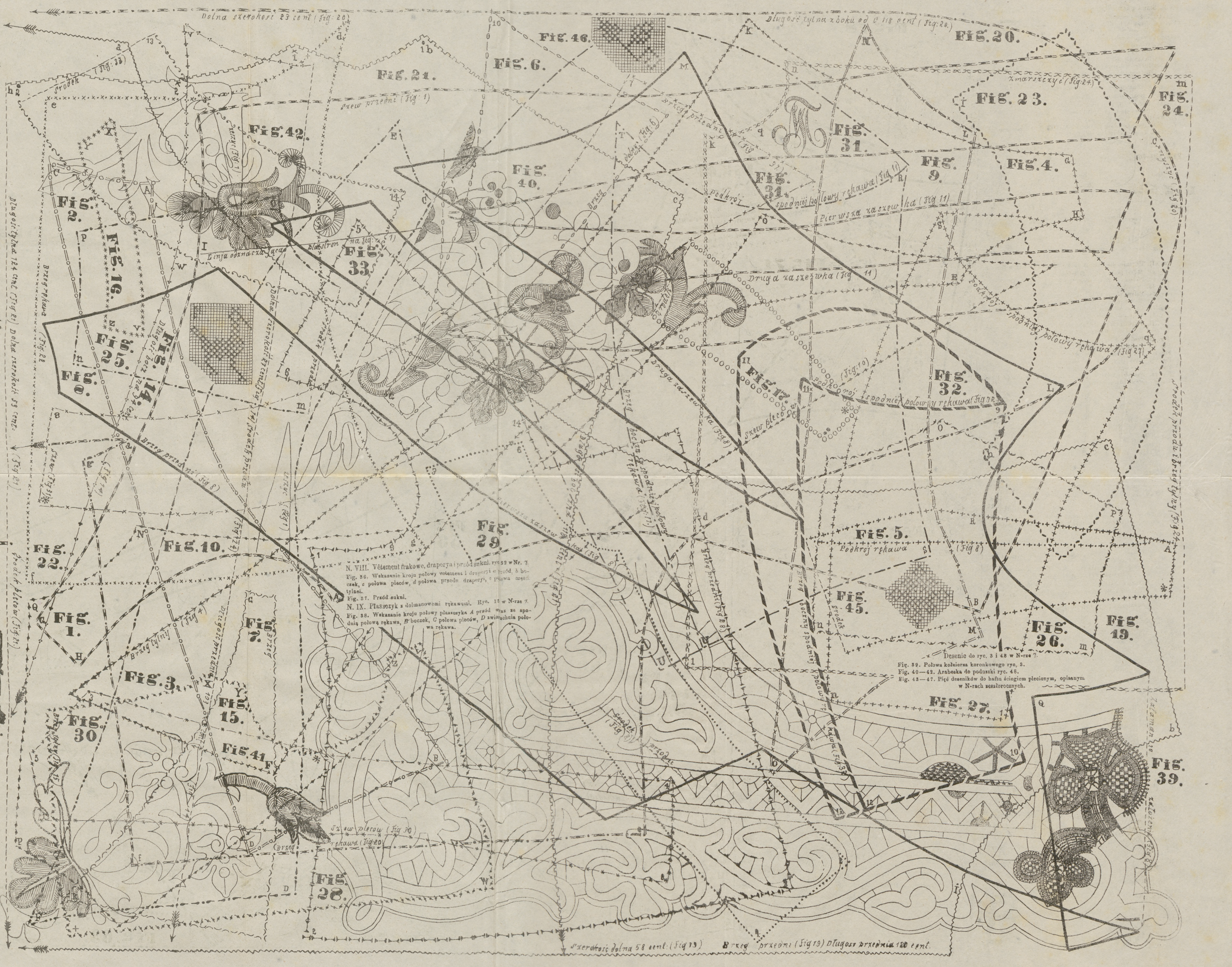


Fig. 43. Fig. 44.



N. VIII. Vêtement frakowe, draperya i przód sukni. ryc 32 w Nr. 7.

Fig. 36. Wskazanie kroju połowy vetement i draperyi a przód, b boczek, c połowa pleców, d połowa przodu draperyi, e połowa części tylnej.
Fig. 37. Przód sukni.

N. IX. Płaszczyk z dolmanowemi rękawami. Ryc. 15 w N-rze 7.

Fig. 38. Wskazanie kroju połowy płaszczyka A przód wraz ze spodnią połową rękawa, B boczek, C połowa pleców, D zwierzchnia połowa rękawa.

Desenie do ryc. 3 i 48 w N-rze 7.

Fig. 39. Połowa kołnierza koronkowego ryc, 3.
Fig. 40—42. Arabeska do poduszki ryc. 48.
Fig. 43—47. Pięć deseników do haftu ściegiem plecionym, opisanym w N-rach zeszłorocznych.

Dodatek z krojami i deseniami do Nr 6. i 7.

N. X. Stanik z kamizelką i panier. Rycina 24 i 25 w N rze 6.

Fig. 48. Połowa kamizelki (A, B, G, K, L, M, 4, +)
Fig. 49. Przód (A, B, K, L, M, *, :, +, ·) —*—*
Fig. 50. Pierwszy boczek (A, B, C, D) + + + +
Fig. 51. Drugi boczek (B, D, E, F) —o—o—
Fig. 52. Wskazanie kroju panier (F, G)
Fig. 53. Połowa pleców (E, F, H, J, K, L)
Fig. 54. Rękaw (M, N, N, P, Q, R)
Fig. 55. Połowa mankieta (N, P, × 1 i · 1 do × 3 i · 3)
Fig. 56. Bufa do rękawa (M, O, Q, R)
Fig. 57. Połowa wysokiego stojącego kołnierza (H, S)
Fig. 53a. Zmniejszony format kroju fig. 53.

N. XI. Penioar z szerokiemi rękawami. Ryc. 39—40.

Fig. 58. Przód (5, U, V, W)
Fig. 59. Połowa pleców (T, U, V)
Fig. 60. Rękaw (Forma przecięta)
Fig. 60A. Przednia połowa rękawa (W, X, Y, Z, *, :)
Fig. 60B. Tylna część rękawa (W, X, *, :) ×××

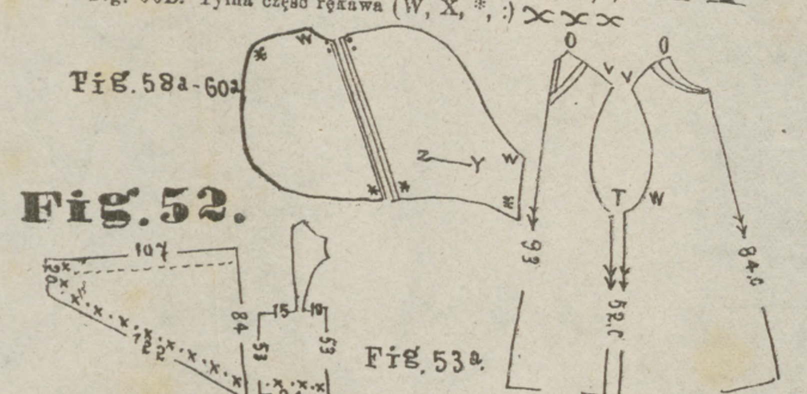


Fig. 58a—60a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju Fig. 58—60.

N. XII. Ubranie dla chłopca lat 5—7. Ryc. 41—42 w N-rze 7.

Fig. 61. Majtki (a, b, c, d, e, f)
Fig. 62. Połowa stanika spodniego (g, h)
Fig. 63. Przód kurtki (i, k, l, m, n, *, :, ·)
Fig. 64. Połowa pleców (i, k, l, m, +) =×=×
Fig. 65. Rękaw (n, o, p, q) ● ● ● ●
Fig. 66. Połowa kołnierza (·, +)
Fig. 67. Klapka do kieszeni (*, :)

N. XII. Vêtement à panier i spódnica, dla panienki lat 12—14. Rycina 7—8 w N-rze 6.

Fig. 68. Przód (r, s, v, w, x, +)
Fig. 69. Boczek (r, s, t, u)
Fig. 70. Połowa pleców (t, u, v, w) ↔ ↔
Fig. 71. Rękaw (x, y, z, *)
Fig. 72. Połowa paska do kołnierzyka (:, +) * * * *
Fig. 73. Wskazanie kroju połowy spódnicy a połowa przodu, b klin boczny c połowa tylnego bryta.



Fig. 73a—72a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju fig. 68—72 z oznaczeniem linią kropkowaną brzegów materyału zwierzchniego.

N. XIV. Spódnica z długim prosto ściętym paskiem. Ryc. 44 w N-rze 7.

Fig. 74. Wskazanie kroju połowy spódnicy a połowa przodu, b klin boczny, c połowa tylnego bryta.
Fig. 75. Przednia połowa paska (1, 2, 3, 4 5) —×—×—
Fig. 76. Tylna połowa paska (1, 2, 6, 7) =o=o=

N. XV. Spódnica z okrągłym paskiem. Ryc. 45 w N-rze 7.

Fig. 77. Wskazanie kroju połowy spódnicy a połowa przodu, b klin boczny, c połowa tylnego bryta.
Fig. 78. Połowa paska (8, 9, 10). •×•×•×•

